Nr. 8 Warszawa, 24 Lutego 1912 roku. Rok XLVIII

BLUSZCZ

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie kop. 60. kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60, rocznie rub. 7 kop. 20.
Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelem lub jego miejsce „za tekstem" kop. 30; ogłoszenie zwyczajne kop. 20. „Nadesłane" kop. 75, marginesy rb. 6. Kolumna rb. 150. Załączniki rb. 6 za tysiąc.
CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO KOP. 20.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM.
Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ.
Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się.—Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Cesarstwie Austryackiem: We Lwowie w głównej ekspedycyi „Bluszczu" Pasaż Hausmana 9, kwartalnie kor. 5, na prowincy z przes. poczt kor. 6.60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie kor. 5, na prowincyi z przesyłką pocztową kor. 6.60.
W W Ks. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego": w Poznaniu kwartalnie 3.60 marek, z przesyłką pocztową 4.30 mk.

Wystawa pracy kobiet polskich w Pradze.

„Towarzystwo czeskich pań" (Ustredni spolek ćeskych žen v Praze Spálená ul. c. 34), urządza w Pradze w ciągu maja, czerwca i lipca, a więc w czasie zjazdu Sokolstwa i obchodu Palackiego, wystawę „Kobieta Polska" która ma zobrazować, co dokonała polska kobieta w przeszłości i teraźniejszości, z korzyścią dla swego narodu, w dziedzinie sztuki, literatury i nauki, przemysłu artystycznego i ludowego i w innych dziedzinach.

„Towarzystwo czeskich pań", uprasza polskie społeczeństwo, aby zaofiarowało swą pomoc, a wszelkie rady i wnioski będą mile witane. Wydział Towarzystwa uprosił o współudział w organizowaniu wystawy p. redaktora Fr. Howorkę, który w tej sprawie odwiedził Kraków, Warszawę, Lwów i Poznań. P. Howorka powierzył dalsze organizowanie pracy około wystawy w Warszawie redakcyi „Bluszczu".

Na skutek zaproszenia komitetu wyż. wymienionej wystawy, przywiezionego przez redaktora „Głosu narodu", p. Franciszka Howorkę, a podpisanego przez p. Eliskę z Purkymiową, zorganizowany Komitet Warszawski krząta się gorliwie około pozyskania jak najliczniejszego udziału kobiet naszych na całym obszarze ziem polskich.

Grono zainteresowanych i chętnych do współdziałania wciąż wzrasta. Aby jednak przedsięwzięcie to rozwinęło się należycie i przyniosło sprawie pracy kobiet polskich rzeczywisty pożytek — potrzeba ogromnego nakładu pracy i wielostronnego wysiłku.

Dla ułatwienia planowego zorganizowania pracy służy podział wystawy, który obejmuje następujące działy:

1. Nauka.
2. Literatura i Poezya.
3. Pedagogika.
4. Szkolnictwo.
5. Malarstwo, Rysunki i Rzeźba.
6. Ogólna sztuka stosowana. Zdobnictwo stosowane (w drzewie, skórze, metalu).
7. Hafty, Aplikacye.
8. Koronki.
9i Zdobnictwo ludowe.
10. Krawiecczyzna.
11. Bieliźniarstwo.
12. Gorseciarstwo.
13. Tkactwo.
14. Koszykarstwo.
15. Zabawki.
16. Slöjd.
17. Gimnastyka.
18. Dział gospodarski.

Osobny dział stanowią Stowarzyszenia.

Hugo Kołłątaj.

Ur. 1750 + 1912

Każdy rok przynosi nam wspomnienie z przeszłości.

Są smutne, są radosne, jak wogóle w życiu człowieka, a więc i narodu.

Ze wspomnień tych czerpiemy naukę i siłę do dalszej pracy.

Wielcy ludzie, wielcy działacze, na jakiemśkolwiek polu dyplomatycznem, politycznem, czy literackiem przyświecają nam, jak gwiazdy wśród ciemnej nocy.

Wśród nich wyłaniają się postacie, co działalnością swoją zapisali się w pamięci narodu.

Jednym z takich jest Hugo Kołłątaj.

Rodzina jego pochodziła z gubernii Smoleńskiej. Po pokoju andruszowskim r. 1667 osiedli na Litwie. Rodzice jego przenieśli się w sandomierskie, otrzymali tam w zasiew wieś Niecisławice, gdzie przyszedł na świat w r. 1750.

Prócz niego było jeszcze kilkoro dziatek. Rodzice mimo dość szczupłych środków dawali im bardzo staranne wychowanie. Hugo w 10 roku życia oddany do szkół w Pińczowie, Chlubnie je ukończył i wyjechał na akademię do Krakowa, aby kształcić się na wydziale teologicznym. Nie zaniedbywał jednak innych nauk. Rodzice przeznaczyli go do stanu duchownego, uważając, iż tym sposobem najłatwiej zapewnią synowi przyszłość.

Hugo, chociaż to nie licowało z jego usposobieniem, nie opierał się temu, mówiąc:

— Zawsze i w każdym zawodzie trzeba być przedewszystkiem człowiekiem i dobrym obywatelem kraju.

Po skończeniu akademii w Krakowie, wyjechał do Rzymu.

Tam, jak i w Krakowie musiał zarabiać na utrzymanie.

Niezwykła energia, silna wola i wielka pracowitość i wrodzone zdolności, dopomagały mu do zdobywania nauki. Niepospolita zaś duma do wyrabiania sobie stosunków.

Zdał świetnie egzaminy, napisał rozprawę i został doktorem filozofii.

Miał wtedy lat 22!

Wiek młody i doskonale napisana rozprawa zwróciły nań oczy papieża.

Wracającemu do kraju młodzieńcowi dał taki papier:

— Polecamy kapitule krakowskiej, aby wakujące kanonictwo krakowskie oddała Hugonowi Kołłątajowi.

Można sobie wyobrazić, jakie ten rozkaz wywołał wzburzenie.

— Na kanonictwie krakowskiem taki młokos!

— Tylu jest starszych, zasłużonych! wołano.

Rozkaz papieża, trzeba jednak było spełnić!

Lecz wraz ze spełnieniem stanęła cała rzesza niechętnych, — wprost wrogich młodemu kanonikowi.

Kołłątaj niewiele sobie z tego robił.

Doskonałe beneficyum dawało mu środki materyalne do spełnienia wielu zamiarów.

Wyjechał do Warszawy.

Tutaj, po zniesieniu jezuitów w r. 1773 wrzało. Wrzało oporem przeciwko komisyi rozdawniczej, ażeby jej wyrwać z rąk olbrzymi majątek po-jezuicki.

Utworzona *ad hoc* komisya edukacyjna dokonała swego, obracając ten wielki majątek na cele oświaty.

Powstała komisya do pisania ksiąg elementarnych, w której młody uczony niepoślednie zajął miejsce.

Trzeba też było pomyśleć o reformie akademii Krakowskiej, która od połowy XVII wieku zastarzałym scholastycyzmem doprowadzona została do upadku.

To wielkie dzieło powierzono Kołłątajowi.

Wywiązał się z niego świetnie.

Usunął scholastyków, sprowadził zdolnych profesorów, przyrządy do nauczania i położył kamień węgielny pod założenie ogrodu botanicznego r. 1782.

Nowe oburzenie zawrzało przeciw reformatorowi w obozie wsteczników.

Znalazła się jednak grupa ludzi, rozumiejących doniosłość tych reform.

Ci mu dopomogli.

Za ich też przyczyną mianowano go rektorem akademii.

Miał wtedy zaledwie lat 29.

Dawało mu to stanowisko, — dawało zadowolenie wewnętrzne, dogadzało jego ambicyi.

Ambitnym zaś był niesłychanie.

Po upływie rektorstwa powrócił do Warszawy.

— Pedagogika posłużyła mi do wielu reform, trzeba wziąć się do polityki! — pomyślał.

Przygotowywał się ku temu ze zwykłą sobie pracowitością.

Studyował odnośne dzieła, wczytywał się w historyę.

Zgromadzał też koło siebie ludzi tak samo, jak on myślących,—pracował wraz z nimi nad zmianą dotychczasowego systemu rządu.

Całe to jego stowarzyszenie nazwane zostało *kuźnicą Kołłątajowską*. Że zaś od r. 1772 t. j. od pierwszego rozbioru kraju myślano rzeczywiście o przetworzeniu praw i podparciu tym sposobem chylącej się do upadku rzeczypospolitej, Kołłątaj wystosował broszurę p. t. *List anonima do Stanisława Małachowskiego, marszałka sejmu w r. 1788.*

Broszura miała wielu przeciwników,—trafiła wszakże do przekonania marszałka, wielu jemu podobnych i samego króla. Zaczęto więc zapraszać Kołłątaja na sesye sejmowe.

Tu siłą swej wymowy umiał wnieść projekt o konieczności przypuszczenia do praw ludności miejskiej i wiejskiej.

Artykuł ten, zajmujący główne miejsce w wiekopomnej konstytucyi 3 maja r. 1791 zawdzięczamy Kołłątajowi.

W małych domkach.

Co to za rozkosz mieszkać w małym domku, zajętym tylko przez moją rodzinę, w domku otoczonym zielenią, wśród wiejskiej ciszy, wonnego powietrza, a o kwandrans drogi jazdy od rogatek miejskich.

Niby wieś,—bez much, ryku krów i piania kogutów.

Niby miasto,—bez turkotu od ulicy a trzepania dywanów od podwórza; miasto bez sadzy, pyłu i... gramofonów.

To marzenie mieszkańca stolicy zdaje się tak skromne, tak nie wysoko sięgające! Bo przecież chodzi tu właśnie i o powrót do prostoty, o zbliżenie do ziemi karmicielki, którąbyśmy pragnęli czuć blizko siebie, żywą i nie zasklepioną asfaltem i kamieniem.

Tymczasem nasze marzenia i nasza rzeczywistość w tym razie przedstawiają tak odległe od siebie punkty, jak np. Madryt i Nowa Zelandya.

Nasza warszawska rzeczywistość na przekór naszym skromnym tęsknotom do prostoty sadowi nas w drapaczach „sterczących dumnie", zagania nas na wyżyny dostępne dotąd tylko dla wielce szanownych wieżyc gotyckich. A że na tym świecie niczego się darmo nie osiąga, więc za zaszczyt przebywania na gotyckich wysokościach trzeba płacić nie jedną przykrością. Dokucza nam dotkliwe zimno. Dygnitarz z bramy tłomaczy nam opiekuńczo, że jest to zło konieczne, strzegące nas przed złem wyższego rzędu. Oto do nadbudówek 5-go i 6-go piętra używa się cegły „w dziurecki" gwoli lekkości, bo gdyby ściany nie *strzymały* to państwo-by gruchnęło na *lukatorów* z piętaka, a piętaki znów na czwartaków i tak aż do spodu. Dopieroż byłaby kasza!"

A no racya, byłaby kasza, więc musi marznąć, kto chce bytować na wyżynach.

Nie braknie tam i innych przyjemności. Naprzykład pionowa lokomocya, wielmożna pani winda. Jej małoletni funkcyonaryusze żalą się wprawdzie, „że też to ta *elekstryka* nigdy nie świętuje", ale niestety świętuje ona aż nadto często, tylko nie wtedy, gdy Ignaś z Władkiem chcą grać w „czarnego Piotra", ale kiedy jej się podoba. A w takiej krytycznej chwili lokatory i ich goście muszą, podobni do biblijnych aniołów piąć się po drabinie Jakóbowej do swych podniebnych siedzib. Wprawdzie ziemska ta ścieżka marmurem wymoszczona i rozmaitym przepychem upiększona, ale to nie zmniejsza bynajmniej natężenia naszym zmęczonym członkom i nie zaoszczędza naszych płuc.

Za te i inne niewygody wyżyn jest jedna kompensata: słońce.

Latem bywa go nawet za wiele.

Natomiast ci z trzeciego i z drugiego nie widzą go wcale, dopóki nie wyjdą w aleje.

Wolę doprawdy kaprysy windy, następstwa cegły „w dziurecki", a nawet ryzyko gruchnięcia „na piętaków", niż brak słońca.

Czy wiecie, że w naszem mieście, według obliczeń meteorologicznej stacyi na ilość godzin przypadających podczas dziennego światła, przeciętnie tylko 37% jest tych, w których blask słoneczny dochodzi nas nie osłonięty chmurami? Słońce skąpo wydziela nam swoje uśmiechy. I z tych rzadkich świątecznych chwil my jeszcze tak małą cząstkę mamy. Jak ostatni nędzarze

Lecz konstytucya, nim weszła w wykonanie upadła.

Upadła niecnem zachowaniem się konfederacyi targowickiej.

Kraj uległ nowym nieszczęściom.

Dokonano powtórnego rozbioru r. 1794.

Nie można było rąk opuścić, — nie można było poddać głowy bezmyślnie.

Wybuchło powstanie Kościuszkowskie r. 1794, po jego upadku Kołłątaj musiał usunąć się z kraju.

Wyjechał do Austryi.

Austrya, jako jedno z państw biorących udział w rozbiorze Polski r. 1795 nie mogła ścierpieć człowieka, który mógł być dla jej rządów niebezpiecznym.

Osadzono więc Kołłątaja w więzieniu w Ołomuńcu.

Dobra jego, znajdujące się w ziemiach zajętych przez Austryę skonfiskowano. Wypuszczono go dopiero w r. 1802 za szczególnem staraniem ks. Adama Czartoryskiego.

Osiem lat, przebytych w wilgotnem więzieniu silnie podkopały zdrowie uczonego polityka.

Nie wpłynęły jednak na osłabienie jego woli i energii.

Pozwolono mu pisać w więzieniu. Owocem tej jego pracy było znakomite dzieło o prawach i obowiązkach człowieka. Wyniósł on z więzienia wielką swą pracę, stracone zdrowie i ujrzał się w zupełnym niedostatku.

Tadeusz Czacki, znakomity już wówczas historyk, zaprosił go do siebie. Żył z dnia na dzień. Aż po wielu przewrotach zabrzmiało 1807 r.:

— Utworzono ks. Warszawskie!

Kołłątaj pośpieszył do Warszawy.

— Znajdę tam pracę, mogę być — użyteczny — mówił.

Omylił się.

Ominęło go jedno i drugie.

Zamieszkał wtedy na Starem mieście pod №-em 42.

Schorzały, żyjąc z tego, co mu przyjaciele przysłali—umarł wprost w zapomnieniu w r. 1812 d. 28 lutego.

Rok ten grzmiący nieszczęsną wojną z Rosyą, tak zwrócił uwagę na teatrum wojny, że nikt nawet nie pomyślał o położeniu mu kamienia grobowego. Nie wiemy, gdzie pochowany.

Wiemy tylko, że Hugo Kołłątaj wielki uczony i polityk, położył znakomite zasługi dla narodu. Pamięć o nim nie zgasła.

Żyje.— *Zuzanna Morawska.*

□□□□□□□□□□□

KRASZEWSKI.

(W setną urodzin rocznicę).

Pod względem płodności — nikt u nas nie może się nawet pokusić o współzawodnictwo z Kraszewskim, a z współczesnych mu pisarzów obcych — jedynie Al. Dumas (ojciec) i Maurycy Jokai mogą się poszczycić prawie równą ilością dzieł, napisanych przez siebie, choć co do pierwszego trzeba uczynić zastrzeżenie, gdyż nieraz tworzył on przy współudziale innych autorów.

Ale nie tylko na tym punkcie łączy Kraszewskiego z Jokai'em pewne powinowactwo: obaj wielcy powieściopisarze — Polak i Węgier — zda się jednakim podążają szlakiem, gdy chodzi o odtworzenie postaci niewieścich.

Jak u Jokai'a — u Kraszewskiego kobieta jest zawsze silniejszą, energiczniejszą, niż mężczyzna, posiada więcej inicyatywy — a jednocześnie obaj — Jokai i Kraszewski — napróżno usiłują rozwiązać sfinksową zagadkę serca niewieściego.

Kraszewski wierzy uparcie w demoniczny żywioł natury niewieściej, w jej wolę, zdolną wszystkie zwyciężać przeszkody — a jednocześnie, zastanawiając się głębiej, badając charaktery niewieście — przychodzi do przekonania, że serce kobiety to otchłań niezgłębiona, pełna przedziwnych, potwornych nieraz tajemnic, o odgadnięcie których próżno się silić.

„Kobieto, królowo, szatanie, aniele,
Motylu, głazie, kwiecie!
Duchu z niebios w ludzkiem ciele,
Nie ze świata, a na świecie,
Niepoznana, niepojęta,
Odmienna i jednakowa
I słaba i nieugięta,
Niewolnica i królowa,
Witam cię, gwiazdo, w młodocianem niebie,
Witam cię słońcem starości wieczornem,
Księżycem smutku bladym i pokornym —
Nic i wszystko — witam ciebie!"

rozpoczyna Kraszewski fantazyę swoją „Szatan i kobieta" — a potem mówi dalej:

„Anioły i szatany, nikt was nie rozumie—
Lukrecye, Cenci, Julie, Eponiny —
Czasem cnotą błyśniecie w zadziwionym tłumie,
Czasem zbrodnią szatańską i jadem gadziny,
A serce wasze — przepaść!!"

Filozofia całego życia badacza i mędrca w stosunku do kobiet zdaje się zamykać w tych paru wyrazach ostatnich.

Serce kobiety — to przepaść, a na dnie tej przepaści leżą kamienie różnobarwne uczuć najrozmaitszych.

Zarówno bohaterstwo kobiety, jak jej nikczemność, prowadząca do upadku, opierają się u Kraszewskiego na jednej podstawie, którą stanowi demoniczny pierwiastek natury niewieściej.

Z otchłani przepastnej zarówno może zbrodnia, jak i cnota na brzeg wychynąć — i nigdy nie można wiedzieć, co się stamtąd ukaże, bo dno przepaści ukryte przed wzrokiem naszym.

„Piękna pani" i „Herod-baba"—to dwa zasadnicze typy niewieście w powieściach Kraszewskiego: swojego zapatrywania na kobiety nie zmienił on przez całe życie: od chwili pierwszych młodocianych uniesień do dnia, w którym witał kobiety „słońcem starości wie-

---

odgradzamy się od naszej gwiazdy-opiekunki, od przebogatego źródła energii kosmicznej.

I dlatego to pewno tak mało mamy wszelkiej energii, a przedewszystkiem tej, co zamieniona na drobną monetę, nazywa się praktycznością i zaradnością życiową. Bo gdybyśmy tę zaradność mieli, musielibyśmy znaleźć rozstrzygnięcie stosunków mieszkaniowych, które dzisiaj układają się dla nas nakształt doczesnych udręczeń pokutnych, podzielonych na czyściec sfer wyższych i czyścieć sfer niższych.

Są jednakże pewne znaki, zwiastujące, że może nareszcie zbudzi się nasza czynna reakcya, przeciw owej karze doczesnej, bo oto już zaczynamy na ten temat wiecować. U nas przecież, czego się w wielkiej gromadzie nie uradzi, tego się napewno nie zrobi, natomiast smutną właściwością naszych stosunków jest, że często chociaż duża gromada radzi... to także... nic nie zrobi.

A oto o czem i jak radziliśmy, dnia 17-go grudnia roku pańskiego 1911-go w wielkiej sali ratuszowej, gdzie nas się zebrało z górą tysiąc męczenników mieszkaniowych.

Pan inżynier Kułakowski wyłuszczył rzecz w cyfrach, dowodząc, że w Warszawie trzebaby stawić po 400 kamienic średniej wielkości rocznie, żeby pomieścić naturalny przyrost ludności, a ponieważ przez lat 7 budowano bardzo mało, więc w chwili obecnej brakuje nam 2,500 wyraźnie 2 tysięcy pięciuset kamienic.

Bagatela!

Trzeba więc wynosić manatki w okolice podmiejskie i lokować się w promieniu blizkiego dojazdu do miasta. Dotąd było to niemożliwe, gdyż rozpościerały się właśnie w tej przestrzeni forty, teraz jednakże, gdy pas forteczny zniesiono, przybędzie wiele miejsca, co wraz z okolicznością możliwego *kiedyś* ukończenia trzeciego mostu (most czy mit) otwiera wielce pocieszające perspektywy dla duszącej się w ciasnocie ludności miejskiej.. Miejsce więc będzie... ale.. jeżeli się nieumiejętnie rozporządzimy tą przestrzenią, to pójdą tam za nami wszystkie teraźniejsze plagi mieszkaniowe, ciasnota, drożyzna, spekulacyjna budowa domów i t. d.

Jak tego uniknąć?

Gdzieindziej (naturalnie za granicą) radzą sobie ludzie w ten sposób, że wolne przestrzenie podmiejskie zakupują albo zarządy miast, albo towarzystwa udziałowe, i racyonalnie takowe zabudowują, z uwzględnieniem wszelkich wymagań zbiorowego życia. Taka zbiorowa gospodarka zapewnia, że osada będzie rozparcelowana z obmyślanym celowo rozkładem dzielnic, że będzie miała w punkcie centralnym wielki plac z budowlami publicznemi, że zarezerwuje zapas wolnej przestrzeni na aleje, ogrody, boiska i t. d. Mówca przytem przedstawił mapę takiej wzorowo rozparcelowanej osady, a następnie pan Kudasiewicz pokazał plany zabudowania siedzib podmiejskich. Były to domki odpowiadające pobożnym pragnieniom naszego indywidualizmu na jedną rodzinę obliczone.

W tych planach uwzględniono wskazania praktyczne i finansowe, wykombinowano oszczędność budowy przez stykanie domów po dwa na wspólną ścianę tylną, lub po cztery. Ta ostatnia kombinacya przypuszcza, że domki mają kształt równych czworoboków, z których każdy dwoma ścianami opiera się o ściany sąsiadów, jak ćwiartki przekrojonego jabłka. W podobny sposób łączą się z sobą i budyn-

czornem", pozostał wierny swoim przekonaniom, a choć w utworach jego spotykamy i jasne, świetlane sylwetki kobiet, to jednak więcej tam odszukać można duchów ciemnych, demonów, wampirów (Mira w „Orbece", jenerałowa Palmer w „Kopciuszku", Aneta w „Jasełkach"), których celem samolubne życie, które nie wahają się dla własnej przyjemności lub kaprysu wciągać w zdradziecki wir i gubić serca ludzkie.

Charaktery niewieście, o których mowa wyżej, maluje Kraszewski tak jaskrawo, a jednocześnie z prawdą psychologiczną tak wielką, że trudno rysunkowi jego coś zarzucić, a, choć nieraz przygnębiające wprost czynią wrażenie na czytelniku—tak umiejętnie odsłonięte dłonią przepastne, ponure głębie życia — to jednak ani na chwilę nie postanie nam w myśli utrzymywać, że autor zgrzeszył przesadą i umiarkowania artystycznego brakiem.

Dlatego dziwnem się wydają te głośne protesty, jakie ozwały się po wyjściu „Orbeki" — głosy oburzenia, że Kraszewski znieważył kobietę polską, wyjaskrawiając bezlitośnie typ Miry, którą uczynił niejako zbiornikiem wszelkich grzechów i występków.

Literatura — zawsze i wszędzie — była i jest po dziś dzień odbiciem życia, więc i zarzut przeciwko temu, że przedstawia nam ona w zbyt czarnych kolorach upaść musi, gdyż — jak w zwierciadle życie ukazuje w niej swoją właściwą, naturalną postać; zbyt zaś dobrym psychologiem był Kraszewski, aby używać farb jaskrawych, gdzie tego nie było potrzeba.

Ale cóż miał robić? Widząc, że zło się panoszy, a chąc je wyrwać z korzeniem musiał walczyć silnymi argumentami, używać broni mocnej, wypróbowanej—pisać śmiało i bez osłonek. Nie zawsze można łagodnie występować, lub „ridendo castigare mores", czasem trzeba mieć odwagę zagłębić skalpel w ranę społeczną, nie lękając się odpowiedzialności.

Tę odwagę miał autor „Orbeki" i dlatego pozwolimy sobie twierdzić, że zdziałał bardzo wiele, że dzieła jego nietylko, jako utwory o pięknej treści, ale jako czyny obywatelskie, o wysokiej doniosłości społecznej, rozpatrywane być muszą.

Nikt nie zarzuci Kraszewskiemu, iż był pesymistą, wszystko w ciemnych barwach widział, przeciwnie, on był optymistą i altruistą w najlepszem znaczeniu tych wyrazów, ale patrzył na świat trzeźwo, z pogodą mędrca, który wierzy, iż, gdy się tak długo uderzać będzie w mroki, światło promienne, prędzej, czy później ciemności rozproszy,—który umie analizować i zastanawiać się bacznie nad różnymi przejawami życia.

(D. n.) *T. Kończyc.*

WIKTOR GOMULICKI

CIEŃ.

(HISTORJA DUSZY DZIECIĘCEJ).

7)

Zasłuchana jest toń wodna w te głosy i ty cieniu drogi, z dreszczem trwogi świętej w siebie je wchłaniasz. Ale rybom dzwon wieczorny godzinę uciechy i pustot wesołych wygłosił. Rzeka pełna jest plusku, szmerów, bulgotania i podwodnego dudnienia.

Małe rybki, jak pacholęta, „w cztery kąty", w „ciuciu-babkę" się bawią. Starsze „gonionego" tańczą. Coraz któraś z wody na powietrze pstryknie. Srebrna jest, a przez tę chwilę, w zachodu łunach, złotą się zda lub krwawą.

Co czas pewien — głośne, potężne pluśnięcie. Jakby kto kłodę w rzekę zwalił! Potem cisza...

To stary szczupak, sum wąsaty albo rapa drapieżna na korowód tańczących gromem spadły, niby tatar na rozbawione ukraińskie sioło.

Ty stoisz po kolana w wodzie, z wędą lub siatką, ale nie połów ci w głowie. Zapatrzony, zasłuchany, z oddechem zatajonym, duszę utopiłeś w rzece, podwodnem żyjesz życiem, życiem ryb, małż, wodorostów, raków. Zawołany po imieniu, głowy-byś nie odwrócił; za ramię targnięty nie drgnął-byś.

Tymczasem purpurę zachodu mrok kurzem i popiołem przyprósza. Dzwon zcichnął. Niebo i ziemia szarzeją, stygną. Z zarzecznych łąk wstaje tuman. Już dzwonnica farska, blachą obita, przestała złotem i rubinami migotać. Już na wieżycach benedyktyńskich złote krzyże zgasły. Nie płoną już nawet szybki w domkach rybackich, na zachód obróconych. Omroczyło się wszystko dokoła; zamilkła i posmutniała rzeka.

Zapóźniony ptak jęczy w powietrzu. Żaba lękliwie daje znać o sobie. Gdzieś daleko pies zaszczekał, potem krótko zawył. Kobieta przed dom wyszła, dziecię zbłąkane żałośnie przywołuje...

I ciebie smutek nawskróś przejął. Tęskno ci, boleśnie, sieroco. Dusza twoja skurczyła się, omdlała, jakby przez świat cały opuszczona. Jednak z miejsca się nie ruszasz; do domu, do światła, do życia nie biegniesz. Coś spętało cię, za ramię trzyma, nie puszcza. Stoisz, jakby w wodę, w ziemię wrośnięty.

Dopiero głosy domowników, co niespokojni ze światłem szukać cię przybyli, z odrętwienia cię wyrywają.

---

ki gospodarskie w przeciwległym narożniku siedziby.

Wskazano miejsca na podwórko i ogród, a pan Jankowski omówił następnie obszernie kwestyę roślinności. Mówił tak, jak umie mówić, ciepło, barwnie, dowcipnie, gdzie sadzić pnącze i kwiaty, gdzie drzewka karłowe a gdzie wysokopienne, gdzie rośliny ozdobne, a gdzie poczciwe i niepokaźne marchewki i pietruszki. I nie dość, że mówił,ale nam pokazał to na przezroczach.

Ujrzeliśmy śliczne ustronia tonące w pnączach, zaciszne chłodniki, tajemnicze altanki i t. d. Ciemność sali przy pokazach usposobiła do marzeń; zdawało mi się, że już zajmuję taki domek otulony w krzewy i bluszcze, zalotnie uśmiechnięty do przechodniów, że już — tylko wsiąść do tramwaju i zapłacić dwa kursy, a znajdę się w wymarzonem mieście-ogrodzie... Niema pyłu, ani sadzy, ani turkotu, tylko czyste, słońcem ozłocone powietrze i cisza—niebiańska cisza!

Tymczasem światło zabłysło na sali, znikły przezrocza, mój domek znikł, pan Jankowski znikł, a na estradzie stał pan Perec i mówił... mówił, jakoś „niepodobnie", jak powiedziałby wieśniak z Kujaw, a w rzeczy samej mówił nielitościwie logicznie.

Po ciepłem rozmarzeniu, wywołanem poprzednią mową, był to trzeźwiący natrysk zimnej wody. Bo oto wystawcie sobie, że nasze wszystkie rozkosze wiejsko-miejskie, nawet na takie malutkie, bokami i plecami przytulone do siebie domki, na jakie za granicą stać każdego zasobnego robotnika, *my nie mamy pieniędzy!*

Planowe zabudowanie wzorowej osady podmiejskiej, — mówił pan Perec, wymaga zgrupowania kapitałów w instytucyach, któreby się rządziły pożytkiem społecznym, a nie spekulacyą. Musiałby zadowolić się nizkim procentem, plus zadowolenie moralne.

Natłok w sali ratuszowej nasunął mi w tem miejscu przypuszczenie, że nasze kapitały mogłyby wejść w jakąś kombinacyę z wartością tak obstrukcyjną, jak zadowolenie moralne, aliści dalsze wywody pana Pereca rozbiły i to pocieszające skojarzenie psychologiczne. „Gdyby takie towarzystwa chciały się nawet zorganizować, to potrzebowałyby: 1-o) odpowiedniej ustawy, której u nas niema; 2-o) samorządu, który dopiero jest w drodze, i 3-o) taniego kredytu, którego również nie mamy."

Więc cóż będzie dalej? Braknie przecież 2500 kamienic...?? chciałam zawołać.

Na sali zapanował nastrój minorowy. Ale następni mówcy uderzyli znów w silny akord majorowy. Gromada jest wielką siłą, jeżeli umie chcieć. Trzeba kołatać, a otworzy się niejeden Sezam. Trzeba wołać głośno, a wołanie będzie usłyszane. Trzeba przedewszystkiem łączyć się we wspólnym celu...

Po tym majorowym finale rozeszliśmy się; nie postanowiliśmy nic konkretnego.

W nocy miałam męczące sny. Majaczyłam, że patrzę na przezrocza i słucham mówców w ratuszu, a równocześnie dochodzi mię brzęk rubli i słyszę, jak spekulanci dobijają targu o place z pasa fortecznego. „Spieszmy się, zakładajmy towarzystwa, zawiązujmy spółki", wołałam zdyszana i rozgorączkowana. „Już zapóźno, wszystko rozkupiliśmy", odpowiedziały mi szydercze głosy.

Z. Bielicka.

VIII.

Byłeś także przyjaciel kwiatów. I więcej, niż przyjaciel, bo ich brat, kochanek, a czasem sługa i niewolnik.

Nie poskąpił ci los tych skarbów. Żyłeś, wychowywałeś się między kwiatami. Od najwcześniejszej wiosny do najpóźniejszej jesieni kwiat bywał twym stałym towarzyszem. Rozpoczynały barwny korowód wątłe, z pod śniegu wykwitające, przylaszczki, kończyły—astry i georginie. Aleś do ręki nie brał nieśmiertelników. Życie w najniklejszej nawet formie było ci droższe nad suchą, zimną, martwą, tak zwaną nieśmiertelność. Tak zwaną tylko! — bo czyż śmiertelny jest mocen nie tylko ująć i przytrzymać, lecz choćby zrozumieć tę rzecz, większą niż wszechświat.

Myślę niekiedy, że ostatni z tutejszych biskupów, co na kilkadziesiąt lat przed tobą to miejsce na zawsze opuścił, dla tego tylko wyposażył je w takie bogactwo pięknych i rzadkich kwiatów, abyś ty na nich swój krótki żywot mógł prześnić. One też pewnie tu ciebie zwabiły, gdyś, jako duch czysty, unosił się w eterze, miejsca i kształtów dla siebie szukając.

Częstoś też myślał, że to czarodziejskie królestwo Flory dla ciebie tylko istnieje, tobie jednemu ma służyć.

Był zaś ten ogród, niegdyś biskupi, teraz dla ciebie o każdej porze otwarty, istnym Giulistanem. Całe szpalery różane chwytały tam jakby w wonne objęcia odalisek, lejąc upojne aromaty z tysiąca zawsze pełnych i zawsze świeżych kielichów. Róże tu od maja do września kwitnęły, nigdy nie przekwitając. Zmieniały się ich barwy, kształty, układ płatków, stopień wdzięku i rzadkości—zawsze jednak były na stanowisku, czarować i pieścić gotowe. Sułtanem wśród nich byłeś.

Ileż bajek brylantowych naszeptały ci te duszki urocze! I one wydzierały cię światu realnemu, tłumiły w tobie poczucie rzeczywistości, czyniły śniącym na jawie lunatykiem.

Ledwieś wstąpił w granice zaczarowanej krainy, przestawałeś być sobą. Barki twoje okrywał jedwab, aksamit, złotogłów; płonące czoło ochładzał zawój z indyjskiego kaszmiru; szyję obciążał złoty łańcuch; u pasa tkwił sztylet z usianą brylantami głowicą. Ruchy miałeś leniwe, miękkie, kocie; oczy od zachwytów mdlejące; usta westchnieniem rozkosznem rozchylone.

Dziwy i czarodziejstwa czynił z tobą ten zakątek wielkiego ogrodu, dokąd stary ogrodnik tylko wybranym wstępu dozwalał. Tyś był najwybrańszy — król tego miejsca, sułtan odalisek, pan samowładny zaklętych w kwiaty duszków. Dla ciebie to wszystko z nicości było wywiedzione; dla ciebie istniało, dla ciebie się w majestat piękna i przepychu stroiło.

Ale twoja miłość kwiatów i spokojniejsze miewała formy.

Niekiedy wystarczać ci musiał mały przy domu ogródek. Jeden krzew, podobny w porze kwitnienia idącej do ślubu oblubienicy; kilka grządek gwoździków, bratków, stokroci, nagietek, niby rozsypane po ziemi skromne klejnociki jakiejś Faustowej Małgosi — to były główne jego skarby.

(D. c. n.)

□□□□□□□□□□

KOLEŻANKA STEFA.

Całe trzy lata razem!...

Listy, wezwania na posiedzenia, przypomnienia o składkach, które miały być przesłane im obojgu, adresowano często tylko do niej lub do niego. Starczyło: przychodzili oboje. Mówiło jedno za dwoje. Dawał on głos lub ona, znaczyło: są dwa głosy.

— Jak wy żyć będziecie bez siebie? — pytali koledzy. Jak?

Nie zastanawiali się.

A jednak przyszła chwila.

Stefa musiała wracać. Rozprawę doktoryzacyjną postanowiła napisać w domu i tylko wpaść później na miesiąc dla obrony jej.

Edward zostawał jeszcze cały rok.

Jeden długi rok!...

Odwiózł ją na stacyę.

Dzień był zimny, błotny; ziemia i niebo zlane w całun mokrej szarości, od której szedł ból po kościach, a po duszy—łzy!

— Napiszesz do mnie?...

Skinęła głową, nie mogąc mówić. Ściskało ją w gardle. Nie przypuszczała, żeby tak ciężko było żegnać się. Przecież zostawiali sobie dusze swoje... na zawsze...

Siedzieli w wagonie, pełnym hałaśliwej rozmowy dwóch wracających z podróży — po berneńskim Oberlandzie, rodzin. Nie zwracano na nich uwagi. Edward, obrócony plecami do grubej niemki, zdejmującej z pleców tłomok podróżny, mówił cicho, z przerwami:

— Powiedz, jak to będzie?... Ciągle razem, a teraz... Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy: ty... ja... każde oddzielnie...

Gryzła wargi, żeby się nie rozpłakać. Nic, nic odpowiedzieć nie mogła.

Objął ją wielkiemi siwemi oczami, jak gdyby chciał wypić łzy z pod powiek jej.

Spuściła je. Pierwszy raz nie wytrzymała jego wzroku. Patrzyli na siebie zawsze śmiało, szczerze. Dziś — szlochało w niej wszystko, a pod tem jego bolesnem, bezradnem spojrzeniem wzdymały się smutki i żale życia całego.

Wiedziała, co ją czeka w domu?... Praca. Poza tem cicha, małostkowa, głupia zgryzota drażnionej od poranku do wieczora ambicyi.

— Ala była królową balu...

— Meta odrzuciła trzech konkurentów...

Tem ją powitają. Te i tym podobne uwagi wysłuchiwać będzie musiała codzień, co godzina.

Listy matki i ciotek pełne były zachwytów nad salonowemi zwycięstwami „tych dzierlatek".

One same odzywały się rzadko i krótko, zajęte wielkoświatową paradą. Ojciec tylko dodawał bardzo znamienne przypiski:

„Martwi mnie czcze, puste życie sióstr twoich.

„Ty jedna dasz coś światu i — sądzę — sama znajdziesz spokój, nigdy nie żałując dni swoich..."

Kartki te nosiła na piersiach: o reszcie zapominała.

Teraz — przeszłość odżyć miała na nowo: tryumfy sióstr i... robak zawiści...

Czy tak?...

Nie, stanęła wyżej. Tamto nie wróci, ale w blichtrze, w pustce otoczenia przyjdzie żal za złotym snem przyjaźni, który odkrył przed nią nowe światy.

Przyjdzie?...

Już jest; już dławi pierś szlochem.

Edward prosił:

— Pisz codzień... przysyłaj każdą myśl swoją... jakbyśmy byli z sobą...

Skinęła głową.

— Przypominaj mi hasła nasze...

— Czy wątpisz o sobie?

Wrzawa w wagonie zgłuszyła rozmowę.

Para hałaśliwych podlotków, bawiąc się w łapki z piegowatym wyrostkiem, co chwila potrącała Edwarda i z krzykliwem „pah...h.. don" cofała się w tył, aby znowu natrzeć.

Stefa myślała: rozstajemy się... To, co było: dziewiczo-czysty sen przyjaźni znika, nie wróci już nigdy, bo taki poemat przeżyć można raz tylko...

— Dałeś mi szczęście bodaj pierwsze i ostatnie w życiu, pokarm do śmierci... dziękuję...

— Ty... mnie... ty?... To przecież ja tobie... Oczyściłaś mi duszę... Czy wiesz?... Przez ten czas nie znałem żadnej innej kobiety: gardziłbym sobą, gdybym znał... Tak, od ciebie szła świętość... My... musimy być razem...

Spojrzał na nią i zamilkł. To, co przez trzy lata ciągłego obcowania nie przyszło im na myśl: możność połączenia się na zawsze, teraz padło z jego ust, jak objawienie.

Spuścili oczy, zmieszani.

Starszy podlotek pchnął Edwarda w tej chwili tak silnie, że twarzą padł na twarz siedzącej wprost niego Stefy. Usta ich zlały się oddechem, a przecież nie przywarły do siebie.

Na nią powiał nagle dziwny pokój. Odbiegły żale; schował się gdzieś głęboko ból gorzki. Wargi zadrżały uśmiechem.

Czemu żegnać go tak grobowo. Niech pamięta wesołą, swobodną jak zawsze.

— Rozmazaliśmy się, jak dwa Filony i trzy Dorydy, a przecież... cóż wielkiego?... Zobaczymy się. Ty przyjedziesz do mnie... Obiecałeś... jak tylko skończysz z doktoratem... prawda?... Nie będzie to, co u „baby"... Taka swoboda już nie wróci... Przy mamie i siostrach będziemy musieli mówić sobie „wy" i to zaczną ruszać ramionami... Ojciec wie o naszem braterstwie; nie gniewa się; on wszystko rozumie, ale — jego nie rozumieją... W każdym razie musisz przyjechać, a tymczasem będziemy pisywali... Ty pierwszy. Albo nie: razem jednocześnie... Wieczorem jutro oba listy dobrze?...

Nie zdążył odpowiedzieć. Gruby jakiś pan z pakunkami wtoczył się do wagonu. Trzeba było ustąpić mu miejsca.

Podali sobie ręce. Hałaśliwe podlotki dygnęły Edwardowi na pożegnanie.

Stanął przed oknem pod szarym dachem dworca.

Rzucili już tylko kilka banalnych pytań.

— O której będziesz w Dreznie?

— Późnym wieczorem. A ty co robisz dzisiaj?...

— Nie wiem: upiję się... Zaraz, jak pociąg ruszy, pójdę do bufetu...

— Edwardzie!...

Tyle razy tem słowem i tem spojrzeniem wytrącała mu z ręki kieliszek.

— Nie zrobisz tego, prawda?...

— Zrobię... nie żądaj... Wiesz, słucham ciebie zawsze, gdy mogę... Dziś... pozwól...

Patrzył błagalnie z nerwowem drżeniem w kątach warg.

Wysiliła się na uśmiech.

— Pojutrze dostaniesz list odemnie...

I ty także..:

Swist parowozu, turkoł wagonów. Pociąg ruszył w tumany szarej mgły.

— — — — — — — — — —

Życie w domu urządziła sobie najzupełniej niezależnie od trybu, jaki pędziły siostry i matka, z modnej czarnej kawy pędzone na koncert, z koncertu na raut, z rautu na bal. Rano sprawunki, szwaczki, fryzyerka. Po śniadaniu dzienne wizyty, a zawsze gwałt: ani chwili wytchnienia, bezduszny, zachłanny pośpiech.

Odgrodziła się od nich murem „staropanieńkich dziwactw", jak nazwała to matka inaczej— dnia, godziny nie wytrzymałaby z nimi...

— Jestem dla was ciągle studentką w Zurychu. Niema mnie: pisujcie do mnie listy, a ludziom mówcie: „zwaryowała"...

To tylko mogła odpowiedzieć na wymówki, że zamiast zająć trzecie łóżko w pokoju sióstr, wyprowadziła się na górę, gdzie dotąd sypiał lokaj i z brudnego składu niepotrzebnych rupieci, urządziła sobie zaciszny, pełen książek salonik, do którego nie dochodziły gwary rautującego, balującego, koncertującego świata.

Kilka dobrze płatnych lekcyi na mieście: dwa komplety robotnic i robotników u siebie, zresztą praca w zwartej grupie „swoich ludzi"— to było jej wszystko.

Matka łamała ręce; siostry brały się za głowy...

— Ty dajesz lekcye... ty każesz sobie płacić, jak pierwszy lepszy głodomór, któremu z nóg leci obuwie... Co ludzie powiedzą?... Gintowtówna... prawie z książąt, córka dyrektora banku, nauczycielką!... Palcami pokazywać cię będą!... Ciebie i nas,—bo rozumie się na nas pada główna hańba, że... pozwalamy... Ojciec za tobą: on wiecznie skacze, jak mu zagrasz... Patrzy twojemi oczami, mówi twojemi ustami, ale... przecież i on w końcu przyzna, że to skandal...

Nie przyznał, nie przyznali oboje.

. . . . . .

W domu Gintowtów panowała wieczna szarpanina, wieczny zamęt ludzi, żyjących nad stan.

Wymagania Mety i Ali nie miały granic. Ojciec dawał, co miał, zostawiając dla siebie samego tylko nieznaczną część dochodów na książki i podróż.

Kosztem tych jego własnych przyjemności kształciła się Stefa zagranicą.

Pierwszego roku przyjechał do niej: następnych nie starczyło.

Cichej, ale upartej stanowczości „pana dyrektora" trzeba było, żeby nie wpaść w tragedyę pieniężnych powikłań.

— Nie dam—odpowiadał Gintowt twardo, gdy żona i córki prosiły o nadetatowy dodatek do sumy miesięcznej na stroje lub zabawy, a wtedy nic nie pomagało: ani spazmy Mety i Ali, ani groźby pani dyrektorowej: „zastawię srebro i będzie wstyd"; ani najgorsze od wszystkiego: „pożyczę od żyda".

Ruszał ramionami i wychodził z domu. Wracał na kolacyę, jak gdyby nic nie zaszło, ale— ze zmarszczki na czole, ze ściągniętych surowo brwi i ust poznawano, że niema siły, któraby opór jego przezwyciężyć mogła.

Matka co rok sprzedawała coś ze swoich kosztowności; siostry płakały, ale nawet dla kolii brylantowej nie były w stanie wyrzec się jednego balu lub rautu.

—Stefie dajesz, czego jej się tylko zażąda, a nam, jak kopciuszkom... Wiecznie tylko ten budżet... jak gdyby nic innego na świecie nie było... Wszyscy widzą, że masz dwie miary... powiedziała mu kiedyś przed wyjazdem „tej dziwaczki" do Zurychu Meta.

Spojrzał na nią tak, że w tej chwili spuściła oczy i już nigdy potem nie śmiała powtórzyć wymówki.

Czy były sceny o nią między ojcem a matką i siostrami po wyjeździe jej? - Stefa nie wiedziała.

Wróciwszy, postanowiła nic nie żądać od rodziny, a ojcu zwrócić podróże jego i książki.

Lekcye dostała bez trudu. Żydowsko-burżuazyjna plutokracya uważała sobie za zaszczyt mieć nauczycielkę prawie z książąt, córkę dyrektora. Dyplom uniwersytecki torował drogę do zaufania i hojnych kieszeni. Zarabiała, jak wyższy urzędnik, a rozkosz kształcenia młodych głów, rzucania w nie bujnego siewu była chyba wyższą od radości i dumy, którą budzi poczucie materyalnej niezależności.

(D. c. n.) *C. Walewska.*

TADEUSZ KONCZYŃSKI.

ZAWROTNE DROGI.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

Obudziła się uśmiechnięta, różowa.

Ranne słońce kuło sobie oślepiająco-złotą drożynę i wędrowało z kamiennego balkonu aż do purpurowych kwiatów dywanika, leżącego przed jej łóżkiem.

Przez otwarte okna wlewała się głęboka, stłumiona symfonia zielonej toni Adryatyku, która milionami fal mieniących się śpiewała pieśń powitalną na cześć nowego, czerwcowego dnia. Wstała, ubrała się z pośpiechem i zapukała do drzwi sąsiednich.

Żadnej odpowiedzi.

— Ach! śpiochu drogi, nie jestże tu pięknie? nie jest że tu raj na ziemi, odzyskany raj?

Nasłuchiwała.

— Wyszedł kąpać się — pomyślała.

— Szkoda, że poszedł — snuła marzenia — kiedy mnie fala zalewa, a on jest niedaleko jestem jak średniowieczna królewna, otoczona przez tłumy złośliwych karlików, którą rycerz nieustraszony wyzwala...

— Cezary! — zawołała głośno — pomyślałam rzecz bardzo, bardzo piękną! Czy ci powtórzyć głośno śpiochu ukochany?

Żadnej odpowiedzi.

Płomienne pocałunki słońca wdzierały się do pokoju i złotymi języczkami całowały jej ramiona.

Zadzwoniła.

Nasłuchiwała jeszcze.

Chciała zapytać służebnej, gdzie pan wyszedł, lecz słowa umarły jej na ustach, kiedy rzuciła wzrokiem na list, który dziewczyna jej podała.

Zadrżała.

— Możesz odejść — szepnęła.

Została sama.

List był pisany ręką Wańkowskiego.

Zbladła. Złe przeczucie zaczaiło się tuż koło jej serca i wbiło sztylet w tętnicę.

Czytała.

Potarła ręką czoło...

Wyrazy migały jej przed oczami potwornie wielkie i głośne.

„Ukochana Wando!

„Już czwarty tydzień mija, jak bawię z tobą na Lido. Byłby to dla mnie jeden cudny sen, gdyby nie to, że tam w Paryżu czeka na mnie praca. Mieliśmy wyjechać na dni kilka. Tymczasem miesiąc dobiega do końca, a ja śnię bajkę miłości z tobą. Pragnąłem zbudzić cię tyle razy z tego snu i prosić o powrót. Tam do Paryża woła mnie inna potęga, możniejsza i świętsza. Ty ją znasz.

„Nie mogłem nigdy ani na jeden moment przytrzymać twej uwagi na *mojem* pragnieniu Zamykałaś mi usta pocałunkami. Odurzałaś wolę moją miłości słowem. Walczyłem z sobą i z tobą. Napróżno. Zawsze ulegałem. Przepiękną jesteś w tej miłości. Ale ta złota klatka nie dla mnie.

„Daruj — nie miałem innej drogi ratunku, jak tylko uciec. To brzydko z mej strony, ale ty mi wybaczysz. Wracaj następnym pociągiem do Paryża, a ja tam wyproszę łaskę dla mnie i dla mojej rzeźby. Pamiętaj, że ty w tej rzeźbie jesteś nieśmiertelnie piękna i prawdziwa. Stałaś się dziełem sztuki. Przebacz, proszę Cię jeszcze raz, moje okrucieństwo, ale musiałem tak uczynić, musiałem, bo z twych objęć nigdy nie zdołałbym się wyzwolić inaczej, jak tylko w ten sposób. Uciec bez słowa. Rzecz to okropna. Lecz wiesz sama, jaką przemoc miałaś nade mną. Nie chciałem ciebie zupełnie utracić, a utraciłbym, gdybym z tobą walczył.

„Wracaj najdroższa za mną do Paryża natychmiast.

„Błagam cię o to, i zaklinam —

Twój

Cezary".

Z zamkniętemi oczami opadła na posłanie. Złote usta promieni słonecznych, wypijały łzy,

które powoli z pod jej rzęs wymykały się srebrne i toczyły w dół po policzkach.

(D. c. n.)

□□□□□□□□□□

Ronda miłosne.

...Połysk księżyca na twej cery złocie,
Na włosów czarnych twych nocy tajemnej,
Czarowny, drogi mej duszy klejnocie,
Dla mej pamięci są, jak symbol ciemny
Czegoś, od czego duch mój broczył krwawo...
A dziś po wiekach znów dla mnie jest jawą
Połysk księżyca na twej cery złocie...

Połysk księżyca na twej cery złocie,
Niby melodya skrzypiec senna, cicha,
Co budzi ze snu wieków duszy mnicha,
Tonie w mej ciemnej, tajemnej tęsknocie,
Niby rozwiewne, srebrzyste marzenie...
Odklina szepty rozkoszy syrenie
Połysk księżyca na twej cery złocie...

Połysk księżyca na twej cery złocie,
Na złotych powiek baśni ciężkiej, sennej,
Nieopisany ma urok marzenny,
Jak gdy *Francesca*, śpiąc przy *Lanciocie*,
Marzy że mdleje w objęciach Paola...
Drży, jak baśniowa, srebrna aureola,
Połysk księżyca na twej cery złocie...

Wacław Wolski.

□□□□□□□□□□

JAK SINA KLINGA...

Jak sina klinga z damasceńskiej stali,
W mem ręku zwija się wężowe rondo...
W czarnej gondoli płyniemy z *Giocondą*...
Na mrocznem morzu blask Dyany się pali...
Marząca, cicha gra na mandolinie...
Za nami piany dyamentowy ślad płynie,
Jak sina klinga...

Jak sina klinga na jej czole bladem,
W czarnej koronie jej włosów zwinięta,
Płonie indyjskich dyamentów dyadem...
Jak lazur cichy, marzący *Sorrenta*,
Błyszczą jej senne oczy odaliski...
Dyadem w mrok rzuca dyamentowe błyski,
Jak sina klinga...

Jak sina klinga magiczny sierp Dyany,
Na czarnym nocy płonący woalu,
Po ciemnej fali ślad wlecze świetlany,
Płomieniącego widmowic opalu...
Fascynujące w księżycu jej ramię
Na mojej szyi omdlałe się łamie,
Jak sina klinga...

Wacław Wolski.

□□□□□□□□□□

Z literatury.

EUGENIA ŻMIJEWSKA. *Zdaleka i bliska.* Nowele, wspomnienia i wrażenia. Biblioteka dzieł Wyborowych.

Tom ten wydany został z okazyi jubileuszu 25 letniej pracy dziennikarskiej i literackiej cenionej powieściopisarki.

Aczkolwiek na „gdyby" nie można opierać argumentacyi, to jednak można stawiać hypotezy prawdopodobieństwa. Ośmielę się więc powiedzieć, że „gdyby" Żmijewska nie obchodziła 25 letniego jubileuszu tak wyczerpującej i niezgodnej z duszą artysty pracy, jaką jest praca dziennikarska, ten tom jej jubileuszowy nie byłby zbiorem nowel, wspomnień i wrażeń, lecz jakiemś potężnem dziełem, o którem miałbym okazyę napisać całą rozprawę. Lecz i tak, jak jest—twórczość Żmijewskiej wprawia mnie w zdumienie. Ile trzeba było mieć w sobie zapasu istotnych, nie urojonych imperatywów wewnętrznych, ile rozmachu i temperamentu urodzonej pisarki, jaki pęd ku uzewnętrznieniu indywidualności swojej, by w deptaku wyrobniczym dziennikarstwa nie zgubić duszy w międzywierszu wzmianek, wypadków, katastrof, okropności, zamachów, zjazdów, polityki, powodzi i nieurodzajów.

Umiała się widać Żmijewska odgrodzić murem obojętności od tego, co przemija, by pozwolić przy biurku redakcyjnem dojrzeć temu, co nie przemija.

„Płomyk", „Dola", „Serduszko", „Młodzi", „Z dziennika niedoszłej literatki", oto, co nie przeminie w pracy Żmijewskiej.

Przybywa teraz tom nowel i szkiców, gdzie ukazuje nam autorka najsympatyczniejsze strony swego talentu, humor, sentyment i szerokie obejmowanie tematu.

Wśród piór kobiecych, niezmiernie mało mamy takich, które maczane bywają w humorze, dowcipie, ironii subtelnej. Nie jest to widać w charakterze kobiety, która grać potrafi mocniej na uczuciach.

Taki drobiazg naprz. jak „Przed i po"—to istna perła humoru i—skrótu psychologicznego, który znów jest główną zaletą noweli.

Na tym samym poziomie artystycznym, choć już złośliwszą ironią skropiona jest nowela: „Gra towarzyska", charakteryzująca stosunek świata do najczystszych uczuć.

Niezmiernie dowcipnie opracowana jest nowela: „Jak Duduś został wieszczem".

Inny charakter noszą: „Poco?" „utrapienie lokatora", „O nadmiarze i braku w małżeństwie", „Rewolucya z okien Hersego". Są to raczej znakomite fejletony.

Pięc ostatnich szkiców w książce nie są już płodem fantazyi, lecz odtworzeniem osobistych przeżyć.

Czy dotyczą one Sienkiewicza, dla którego autorka ma kult widoczny, czy instytutu oceano—graficznego w Monaco, czy dworu litewskiego, czy kurhanów ukraińskich, zawsze widzimy poprzez martwe czcionki książki bogatą duszę zdolną odczuwać wszechstronnie, zdolną do obejmowania szerokich horyzontów, do spojrzenia na nas à vol d'oiseau lub sub spoecie aeter nitatis.

Ogromna prostota naracyi, swoboda stylu—jako zupełnie świadome środki artystyczne podnoszą niezmiernie walor książki, która sprowadzić potrafi zadumę i wywołać wybuch szczerego śmiechu.

Gustaw Olechowski.

□□□□□□□□□□

U wrót Sahary.

Na pokładzie statku „Ville de Bône"

Nie darmo nazwano Śródziemne morze najpiękniejszem, ale i najzdradliwszem zarazem. Kiedy „Ville de Bône" opuszczał brzegi Europy, morze było tak spokojne, że aż traciło się poczucie głębi, od której dzieliło nas kilka zaledwie desek — a tak przezroczo szafirowe, iż rzekłbyś woda kryniczna zabarwiona ultramaryną. Statek płynął bez najmniejszych wstrząśnień, ciszej i równiej, niż po ubitej szosie, tylko w głębi huczała głucho maszyna, a smuga czarnego dymu znaczyła przebytą drogę. Od kilku godzin jesteśmy na pełnem morzu, gładkiem i lśniącem niby wielki płot cennej tkaniny. Nieruchomą jednostajność pejzażu przerwały po kilkakroć, wyskakujące nagle z głębin delfiny, wygięte w łuk, z wyprężonemi w wachlarz skrzelami, błyszczące w słońcu, dwumetrowych czasem rozmiarów. Pojawiały się grupami, dając ogromne susy w górę, to płynąc na powierzchni, dążyły, zdawało się w wyścigu ku statkowi i przepadały w chwilę potem pod wodą.

Wałęsałam się dzień cały po pokładzie, przyglądając wszystkiemu ciekawie; jest to moja pierwsza, większa przeprawa morska. Statek nasz jest niewygodnem starem pudłem, kursującem między Marsylią—Philippeville—Bône. Oszczędna „Compagnie Transatlantique" nie chce porzucić statku tego aż do chwili, w której, podziurawiony, sam sobie odpoczynek wyznaczy — ma podobno cenną zaletę, że doskonale jest zrównoważony i dobrze opiera się falom.

Po obiedzie, wyciągnęłam się w fotelu na pokładzie i z przymkniętemi oczami, wpatrywałam się w srebrzystą smugę księżyca. Chwilami, dzięki migotaniu fali, rozpoznawałam miejsce, gdzie kończy się morze, a zaczyna niebo — horyzont bowiem tonął cały w szarawej, niby stare srebro, poświacie księżycowej... Pojawiła się pierwsza gwiazda nikła i blada obok księżyca, zalewającego niepodzielnie niebo i morze, pociemniałe teraz i tajemnicze.

Od kilku godzin pogasły światła na statku i uciszyły się głosy. Posuwaliśmy się naprzód cicho, znacząc drogę białą koronką piany... Do jednego z masztów przylgnęły trzy jaskółki, towarzyszące nam od Marsylii; poruszały się niecierpliwie, roztwierając jakby do lotu, swe ostro wykrojone skrzydełka, zaniepokojone zapewne tą niezwykłą iluminacyą nieba, odbijającego od fosforycznej powierzchni morza.

6 godzina z rana.

Obudziłam się przed chwilą z lekkim bólem głowy. Statek kołysze się trochę... Próbuję pisać, ale litery rozlewają mi się w oczach... Robi mi się coraz słabiej; — głowa zda się być opasana żelazną obręczą... Przez okrągłe okienko zagląda ciemne od chmur niebo i grube krople deszczu, niby łzy spływają po wypukłej szybie...

Philippeville 19 paźdź.

Philippeville nowe, całkowicie prawie francuskie miasto, lekko zabarwione żywiołem miej-

scowym — daje zaledwie przedsmak wschodu; zdaje mi się, że jestem jeszcze w Marsylii na bocznej i brudniejszej ulicy. Podobno zresztą, że Śródziemne morze nie rozłącza nigdy mieszkańców osiadłych na przeciwnych jego brzegach i te same eukaliptusy i pinie, te same grona winne zwieszają się tutaj, jak i na wybrzeżu Francyi, ta sama ciemno szafirowa o białym rąbku woda, opłakuje czerwone skały Afryki jak i zmurszałe brzegi Europy.

Mam kilka godzin do pociągu i literalnie nic do widzenia. Doktór na statku, któremu poszłam podziękować za opiekę, którą mnie otoczył podczas wczorajszej burzy (drżę jeszcze na nogach, jak po długiej chorobie), opowiedział mi kilka tragiczno-komicznych scen z dnia wczorajszego, między innemi, jak kilku żołnierzy z oddziału rekrutów, jadących w głąb Afryki, zdemoralizowani chorobą morską, rozłożywszy się pokotem na pokładzie, za nic nie chciało popodnosić się z miejsc i byłyby ich do ostatniego pozmiatały fale, gdyby załoga statku za nogi ich była nie pozaciągała do kajut. Z trzystu pasażerów 1-ej i 2-ej klasy, troje osób pojawiło się przy obiedzie — w tej liczbie kapitan.

Namówił mnie doktór, abym pojechał obejrzeć o kilka stąd kilometrów położoną osadę rybaków neapolitańskich, którzy przypłynęli tu sobie i drugie już pokolenie zamieszkuje domki o zielonych okiennicach, przy których skrzą się pozaczepiane pęki czerwonych pomidorów i innych użytecznych roślin. Zabudowali się sobie, wokoło miniaturowej zatoki, plecami przytuleni do skał, żeniąc się, żyjąc i umierając między sobą, z okien swoich spoglądając na morze, które ich łączy z ojczyzną. Powyciągane na piasek łodzie, noszą napisy: „Maria Anunziata", „La felice", „S-to Antonio di Padora"— i doprawdy, wydaje mi się, że jestem w jakimś kącie Neapolu — w Baja naprzykład — Zawadzam w powrocie o cysterny rzymskie, o fragment kolosalnego jakiegoś budynku również rzymskiego i śpieszę do miasta, skąd prosto na kolej.

Konstantyna 20 paźdz.

Pierwsze zetknięcie się z żywiołem arabskim. Przyjechawszy wieczorem, wpadłam odrazu w świąteczny gwar Ramadanu — wynalazłszy więc sobie z punktu przewodnika, wyszłam z nim na miasto. Przeszedłszy prędko dzielnicę europejską, zeszliśmy w ciemną uliczkę, poza której zakrętem, znaleźliśmy się w centrum miasta arabskiego, pełnego bieli mlecznej burnusów, bieli niebieskawej domów, bieli srebrnej kciężyca, zalewającego te fantastycznie pokręcone uliczki, z murami w górze, stykającymi się ze sobą prawie. Z obu stron głównej, mocno pochyłej ulicy, ukazują się przejścia i zaułki z domkami o małych zakratowanych okienkach, o szczelnie zamkniętych drzwiach, opatrzonych w żelazną kołatkę. W zaułku takim, pojawi się nagle zwinięta w biel cała postać męzka, idąca wolno i poważnie, niby jakaś wizya senna, z rozlanymi w świetle księżyca konturami. Schodzi ku świętu wieczornemu, ku kramom z ciastkami, skwierczącemi w gorącym tłuszczu, gdzie bielą się bryłki nugatu poplamionego ziarnkami siemienia i pistacyi, do kawiarni maurytańskich, gdzie tłoczą się burnusy na maleńkiej, słabo oświetlonej przestrzeni; w kącie na piecu, na rozżarzonych węglach, grzeją się imbryki, z mocną, silnie pachnącą kawą. Muzyka zajmuje przeciwległy kąt izby; jeden z grajków siedząc na ziemi, dmie w rodzaj skrzeczącego fletu, drugi bębni palcami w płaski bębenek; przed muzyką, na rozpostartym kilimku, szesnastoletni efet sunie wolno w krąg, falując brzuchem i biodrami i powiewając czerwoną chustką, którą trzyma w ręku. Od chwili do chwili okręca się w około na pięcie i znów posuwa wolno, falując brzuchem i uśmiechając się podmalowanemi oczami. Zajrzałam także do łaźni, gdzie półnagi i oblany siedmiu potami masażysta, ugniatał poroskładane na matach, zmęczone kąpielą, brązowe ciała arabów. Obok z golarni, odbiegłszy zamydloną brodę klijenta, wybiegł na mój widok cyrulik i psykając na sąsiada hafciarza, ukazuje mnie palcem, szwargocząc coś żartobliwie.

Hałas, muzyka, jadło, odurzają prędko te głowy zmęczone całodziennym postem; krzyżują się gardlane głosy, słychać głośne śmiechy, skrzeczy trzy-tonowy flet, powtarzając ciągle tę samą zwrotkę i pod księżycem ogromnym, tą srebrną lampą Allaha, powściągliwi i majestatyczni arabi, zdają się być dotknięci rodzajem szału. Nieprzywykłym moim oczom, wydaje się to wszystko czemś tak niezwykłem, że i we śnie o coś bardziej fantastycznego trudno!

Skręciliśmy w ulicę lupanarów, oświetloną gęstemi latarkami, pouczepianemi u drzwi i okien, obowiązujący znak dla mieszkanek tej dzielnicy. W długich, przejętych w pasie bluzach z jaskrawego perkalu, od którego odbijały nagie ciemne ramiona, obwieszone srebrnemi bransoletami, z oczami podkreślonemi antymonem i uróżowaną twarzą, siedziały na progach domów lub przechadzały się po ulicy, młode dziewczyny o maleńkich stopach zasuniętych w sandały i hebanowych warkoczach, na których piętrzyły się kolorowe zawoje.

Zastęp prostytujących się kobiet, tworzy się tutaj najczęściej z sierot, które, aż do chwili znalezienia sobie męża, zarabiają w ten sposób na życie, lub też z nieszczęśliwych w małżeństwie kobiet, które po ukazaniu się, choćby raz tylko w tej dzielnicy publicznie bez woalu, otrzymują natychmiast rozwód i wtedy albo wydają się powtórnie za mąż, albo też korzystają ze swobody w sposób sobie najdogodniejszy.

Nazajutrz rano przebiegałam te same uliczki tak nieskończenie różne w kolorze pod gorącymi promieniami słońca. Miasto zda się zamarło lub śpi. Rzadki przechodzień nasunąwszy na głowę kaptur burnusa, tuli się do murów, rzucających wązki pasek cieniu; we wnękach sklepów, w przejściach, wszędzie, gdzie jakiś załom muru rzuca najskąpszy bodaj cień, poprzysiadali zawinięci w burnusy arabi, gwarzą leniwie lub przesuwają ziarnka różańca. Obok kramiku szewca, krojącego sandały w żółtym safianie, jakiś drab nieczuły na natarczywą napaść much, rozciągnął się w pełnem słońcu, chrapiąc głośno. Przed jedną z nisz, w których mieszczą się sklepy i warsztaty zarazem, uwięziony w klatce słowik rozdzierał swe melodyjne gardziołko, napełniając uliczkę śpiewem. To palarnia „kief'u", rodzaj hasziszu, którym odurzają się arabi. Prawie każdy palacz „kief'u" posiada słowika, ułatwiającego mu śpiewem podróż w etery... Trudno uwierzyć zaprawdę, że ptaszę to, któremu legenda przypisuje tyle romantycznych zalet, a poeci tyle poetycznych natchnień, nie jest niczem innem, jeno małym żarłokiem, im lepiej karmionym, tym ochotniejszym do śpiewu. Arabi karmią go surowem, drobniutko usiekanem i zmacerowanem w maśle mięsem, które to pożywienie ma podobno dar nastrajania go do śpiewu. Wyobrazić sobie rzeczywiście trudno, aby te wdzięczne rulady sprowadzające łzy rozczulenia do oczów, były nie więcej, jak wyrazem zadowolenia dobrze napełnionego żołądka!...

Rzuciłam okiem do wnętrza pustej o tej porze palarni; kilka mat rozłożonych na ziemi, w głębi piec z zagaszonem ogniskiem, nad którem bieli się półka, z rzędem porcelanowych filiżanek. Cisza, nieruchomość, sen. Wielki post nakazany przez Proroka uśpił ten naród, tak jak i jego kodeks moralny, pogrążył w sen więcej niż tysiącletni, energię i myśl tej szlachetnej rasy. Pewne indywiduum lat temu 1400 istniejące, zamknęło w szeregu formułek przepis na wytłómaczenie i uregulowanie życia i oto ewolucya miliona istnień, zatrzymana i unieruchomiona na całe wieki!... I od tej chwili najmniejszy wysiłek intelektualny, najlżejszy bunt ze strony wyznawców Koranu. Nikomu z wiernych nie przychodzi nawet na myśl żyć własnem życiem, marzyć, lub wdzierać się w tajemnicę istnienia... Odpowiedni werset Koranu, zawyrokuje bezapelacyjnie o każdym z trudnych momentów życia—bez żadnych uwzględnień dla sprawy lub osobistości. Może w tem ich siła? Może dzięki tej kolosalnej inercyi, tej ospałości umysłowej, w którą pogrąża islamizm, Arabi zachowują nietkniętym plemienny swój indywidaualizm i opierają się skutecznie naporowi europejskiej cywilizacyi?...

Cecylia Trembińska.

□□□□□□□□□□

STANISŁAW THUGUTT:

Przewodnik po Warszawie.

Każdy, kto zwiedzał większe miasta zagranicą, musiał zauważyć, jak bardzo są tam szanowane i podtrzymywane wszelkie zabytki przeszłości, jak się nimi szczycą i jakiem przywiązaniem otaczają je tamtejsi mieszkańcy. Jest rzecz to zupełnie słuszna i zrozumiała, gdyż właśnie zabytki takie świadczą o dawnej kulturze danego środowiska, a zarazem są jego plastyczną tradycyą.

Dokładna ich wiadomość wiąże się ściśle z badaniem dziejów danej miejscowości oraz ich stosunkiem do kraju.

Stali mieszkańcy starają się też ułatwić poznawanie swych zabytków obcym przybyszom, zarówno przez poczucie dumy narodowej, jak też i przez dobrze zrozumiany własny interes, zainteresowanie bowiem, jakie budzi dane miasto, wpływa na większy napływ turystów, co dodatnio się odbija na stronie finansowej miejscowego handlu.

Wręcz przeciwnie dzieje się w Warszawie; obcy przybysz niema przeważnie żadnych wskazówek do zwiedzania ciekawych zabytków miasta, niema nawet możności zakupienia pięknego albumu widoków Warszawy lub też nabycia drobnych pamiątek z odpowiednim na-

pisem, jakie masami widzimy w sklepach zagranicznych. Kwestya ta była już niejednokrotnie poruszona i powoli zaczyna się coś robić w tym kierunku, niestety, jednak bardzo powoli.

Brak nam przedewszystkiem dokładnych, starannie opracowanych przewodników po Warszawie, które zawierałyby treściwe dane historyczne, tyczące się rozwoju naszego miasta, a zarazem dawałyby wskazówki, jak się w niem oryentować i co zwiedzać należy.

Z wielkiem zatem uznaniem powitać należy poważną pracę p. Thugutta, gorliwego działacza na polu krajoznawczem oraz czynnego współpracownika „Ziemi". Świeżo wydany przez niego szczegółowy „Przewodnik po Warszawie", może oddać nieocenione usługi, nie tylko obcym przybyszom, ale i stałym mieszkańcom naszego miasta, którzy chociaż naogół bardzo są przywiązani do swego „Syreniego grodu", przeważnie mało znają jego przeszłość oraz historyę wybitnych jego budowli i pamiątek.

W pracy p. Thugutta znać przedewszystkiem wielkie umiłowanie starej Warszawy i wszystkiego, co ma związek z jej przeszłością; traktuje on też z pietyzmem liczne jej pamiątki. Z pewną goryczą mówi on w przedmowie do swej pracy: „Utarło się, w krew weszło szerokiemu ogółowi u nas mniemanie, że Warszawa jest miastem, w które, „nic niema". W prostej, żałosnej konsekwencyi nie zna się nawet tego, co czasem bywa szczerem i niewątpliwem dziełem sztuki, kiedyindziej godną czcią i umiłowania pamiątką".

Zgadzając się, iż Warszawa jest uboższa w pamiątki od naszego Krakowa, lub też od wielu starych miast zagranicznych, autor dowodzi jednak, iż miasto nasze, posiadające siedmiowiekową przeszłość za sobą, nie może być i nie jest pozbawione cennych zabytków ubiegłych lat. Są one tylko za mało zbadane, i za mało znane, gdyż rozproszenie po znacznym obszarze nie sprzyja ich łatwemu studyowaniu. Warszawa bowiem rozrosła się szybko, a bez planu, i dużo pomników jej przeszłości mieściło się w odległych niegdyś jej przedmieściach, gdzie powoli zanikały lub zmieniały swą formę wobec ruchu budowlanego lat następnych.

P. Thugutt starał się gorliwie notować wszelkie najdrobniejsze pamiątki naszego miasta, a jednocześnie dać zarysy ewolucyi historycznej, jaką przechodziły ważniejsze dzielnice lub gmachy. W treściwie ujętych dziejach Warszawy podkreśla on głównie momenty historycznego rozwoju; zaczynając od roku 1289, kiedy po raz pierwszy występuje ona na widownię dziejową, jako stolica powiatu, w r. 1307, jest już kasztelanią, posiada kościół św. Jana i mury naokoło miasta. Następnie w r. 1596 staje się rezydencyą królewską i rozwija się coraz wspanialej. W późniejszych wiekach przyczynił się wielce do rozwoju miasta marszałek Bieliński (1742—1766), a następnie Stanisław August, któremu Warszawa zawdzięcza dużo pięknych budowli, jaki nadały jej europejski wygląd.

P. Thugutt zaznacza jako okres rozkwitu miasta pierwsze dziesiątki XIX stulecia, słusznie utrzymując, iż cały jej następny rozrost aż do naszych czasów, jest tylko „przymnażaniem szpetnych domów, banalnych gmachów publicznych, nic nie mówiących kościołów".

Któż zresztą z ludzi, obdarzonych subtelniejszem poczuciem estetycznem, nie bolał nad banalnym, wszelkiego charakteru pozbawionym wyglądem ulic nowej Warszawy, składających się z szeregu beznadziejnie brzydkich dochodowych kamienic, przerażająco jednostajnych, bezsensownie pnących się w zwyż, a unikających jak przestępstwa pozostawienia kawałka przestrzeni, na której mogłoby wyrosnąć kilka drzew lub krzewów.

Ba, wszak z jakimś niepojętym wprost wandalizmem Warszawa stara się o wyniszczenie wszelkich źródeł zieloności, kasuje ogrody, zabudowuje skwery, wycina drzewa, a wznosi na to miejsce przygnębiające monotonią mury, pomijając wszelkie wymagania hygieny i estetyki!

Przechodząc do poszczególnych części miasta, p. Thugutt układa swój przewodnik alfabetycznie, dając w tym porządku wykaz ulic Warszawy i kolejno na każdej, wyliczając gmachy lub zabytki pamiątkowe godne uwagi. Autor kładzie silny nacisk na historyczną stronę i stara się wyjaśnić pochodzenie nazwy każdej z ulic, dochodząc w swych badaniach do nader zajmujących rezultatów.

Ma się rozumieć, iż najszczegółowiej opracowana jest dzielnica starej Warszawy, która daje najwięcej historycznego i artystycznego materyału i pomimo nieposzanowania należytego, ciągłego burzenia lub przebudowywania zabytków przeszłości, znaleźć tu można jeszcze całe szeregi pomników lat ubiegłych, które posiadają swą przedziwną wymowę i wiele powiedzieć mogą tym, co na nich patrzeć i słuchać ich umieją. W kościołach i pałacach starej Warszawy, a nawet w jej zwykłych domach mieszkalnych, w jej uliczkach wązkich, a pełnych charakteru, znajdujemy odbicie naszych dziejów, niejedną kartę historyi naszego narodu.

To też źródłowy, sumiennie opracowany przewodnik p. Thugutta oddać może niejedną ważną przysługę nie tylko cudzoziemcom, lub osobom przyjeżdżającym z prowincyi, ale też i rdzennym warszawiakom, którzy z pomocą tej książki, mogą głębiej i dokładniej poznać swe rodzinne miasto i niejednego się nauczyć z tych starych murów, które tylu wypadków dziejowych były świadkami.

Zresztą p. Thugutt uwzględnia w swym przewodniku również i czasy późniejsze, bliskie nam. Daje on też wskazówki, na jakiej ulicy i w którym domu mieszkali ludzie zasłużeni na polu literatury, sztuki lub nauki. Cennem jest nam przypomnienie, iż na ulicy Elektoralnej pod № 3 mieszkał i umarł Antoni Malczewski, a na tejże ulicy pod № 20-ym zamieszkiwał do r. 1830 Juliusz Słowacki. Tego rodzaju wiadomości nie szczędzi nam p. Thugutt, który z widocznem umiłowaniem studyuje dzieje naszego miasta. Prócz bardzo dokładnego opisu poszczególnych ulic i budowli Warszawy, przewodnik obejmuje krótki opis ważniejszych okolic Warszawy, głównie zaś miejsowości, leżących niedaleko od rogatek, a posiadających znaczenie historyczne.

Dział ten jest mniej szczegółowy, gdyż główny nacisk położony został na samo miasto. Dla łatwiejszego oryentowania się w przewodniku i wyszukania jakiejś specyalnie nas interesującej ulicy lub budowli, ułożony został dokładny skorowidz ulic ze wskazaniem ich miejsca na załączonym planie, oraz spis ważniejszych wzmiankowanych kościołów, pałaców, kamienic i nazw lokalnych. Dowiadujemy się, lub też w części przypominamy sobie, iż mamy w Warszawie stare domy noszące nazwy: „pod łabędziem, ", „pod fortuną", „pod karczochem", „pod lwem", „pod murzynkiem", z godłami bądź dawnemi, bądź zastąpionemi nowemi, bądź pozostałemi tylko w ustnej tradycyi, w każdym razie domy indywidualne, posiadające jakąś cechę odrębną, broniącą je od zniknięcia w powodzi szablonu naszych nowoczesnych budowli.

Poznawajmy i przyglądajmy się tym staruszkom, tonącym przeważnie w fali zapomnienia, od czego energicznie je ratuje dzielne nasze Towarzystwo Krajoznawcze, które urządza co pewien czas szereg wycieczek z objaśnieniami po dzielnicy staromiejskiej.

P. Thugutt w swym przewodniku podaje również plan wycieczek po mieście jedno, dwu i trzydniowych, w których wskazuje najbardziej zasługujące na obejrzenie zabytki. Wielka tylko szkoda, iż nie daje on też ilustracyi, uprzytomniających owe pamiątki.

Ze względu na swą wysoką wartość i pożytek, jaki przynieść może książka p. Thugutta zasługuje ona na jaknajszersze rozpowszechnienie.

Z. Skorobohata Stankiewicz.

Dla nerwowych dzieci.

Prawdziwem nieszczęściem w rodzinie — udręczeniem rodziców, rodzeństwa, wychowawców, a nawzajem ofiarą tychże częstokroć — są dzieci nerwowe, nie rozwijające się normalnie, cierpiące wskutek dziedzicznego obciążenia na jakąś skazę psychiczną, umysłową, fizyczną, nałóg chorobliwy i t. p... Dla dzieci zdrowych i normalnych istnieją i rozwijają się pomyślnie szkoły różnorodnych typów, powstają coraz to nowe systematy pedagogiczne, organizacye, sporty; dla dzieci mniej normalnych, o rozwoju zakłóconym — nie istnieje nic. A jednak niema sposobu identyfikować te dwie kategorye, chcieć im dawać jednakie wychowanie i warunki życia. Dziecko o typie anormalnym nie będzie znosiło szkoły i nauki systematycznie, ogólnie podawanej, bądź to dla pewnych zaburzeń w uwadze, bądź też dla innych właściwości umysłowych czy psychicznych; potrzebuje koniecznie indywidualnego systemu, inaczej będzie mu nauka próżną męczarnią. Pozostawanie w rodzinie dla takiego dziecka jest znowuż częstokroć szkodliwe a nawet zgubne. Samo z siebie wypływa, że dziecko nerwowe musi mieć rodziców nerwowych, przytem często zaślepionych rodzicielską miłością, i wprost bezradnych wobec przejawów skomplikowanych psychiki własnego dziecięcia. Taki stan rzeczy musi ujemnie wpływać na dziecko normalne — powiększać jego nerwowość, paczyć coraz bardziej charakter. Rodzeństwo i otoczenie bliższe albo bywa udręczone albo udręcza samo takiego wykolejeńca — przytem liczyć się trzeba koniecznie ze złym wpływem, złym przykładem, jakie

szerzyć musi dziecko o zboczeniach chorobliwych, nieobliczalne często w pomysłach swych i postępkach.

Prosty i logiczny stąd wniosek, że dziecko takie należy *koniecznie wychowywać poza domem i poza szkołą* i wychowując, *jednocześnie leczyć*. System racyonalny, leczniczo-wychowawczy, wolny od zaślepień uczuciowych i nerwowych bodźców, uczynić może z chorego dziecka zdrowego, normalnego osobnika. Ile w ten sposób przybędzie ocalonych i pomnożonych sił życiowych i społecznych! jak się zwiększy ogólna suma szczęścia i użyteczności! Zdawałoby się, że to kwestya pierwszorzędnej, społecznej wagi — tymczasem traktowaną jest po macoszemu.

Zakłady dla chorych, nienormalnych, nerwowych mnożą się z rokiem każdym — lecz są to wszystko zakłady dla dorosłych — dla dzieci nie istnieje nic podobnego u nas w kraju, jedynie przy ewangelickiej gminie warszawskiej otwarto obok przytułku dla dzieci oddział dla dzieci nienormalnych.

Z drugiej strony trudno nie uznać, że liczba takich dzieci wzrasta w sposób wprost zastraszający. Wpływa na to bardzo wiele warunków, powszechnie zresztą znanych.

Ogólna nerwowość współczesnego życia, szerzące się zwyrodnienie fizyczne, alkoholizm, łączenie się w rodzinie, dziedziczne choroby całe pokolenia trapiące i wiele innych podobnych przyczyn.

Z tych wszystkich względów na szczególną uwagę zasługuje — jako myśl wysoce społeczna przedewszystkiem i jako sposób jej wcielenia — świeżo otwarty w Krakowie zakład dla nerwowych i słabo rozwiniętych dzieci pod kierownictwem profesora uniwersytetu D-ra Piltza. Miałam sposobność zakład ten zwiedzić szczegółowo i wrażeniami swemi chcę się podzielić z czytelnikami, pewna, że wielu matkom skłopotanym i udręczonym oddam w ten sposób usługę.

Na krańcach pięknej i cichej ulicy Kopernika, tuż obok botanicznego ogrodu, wznosi się sporych rozmiarów wiejski dwór, wszystkiemi oknami otwarty na obszerny, słoneczny, tchnący jakimś staroświeckim sentymentem ogród. Dawniej był to pono zbór aryański, potem dworek ten przechodził z rąk do rąk jako własność prywatna, dziś stał się zaczątkiem instytucyi doniosłej, przeznaczonej prawdopodobnie do szerokiego rozwoju.

Głęboka, słoneczna cisza jesiennego popołudnia: zeschłe liście szeleszczą, zgrabiane przez dzieci, gdyż jest to właśnie chwila zajęć w ogrodzie: są i grządki warzywa i kwiatów pielęgnowanych przez małych pensyonarzy; zajęcia na świeżem powietrzu mają zawsze na widoku użyteczność i celowość. Nad dziećmi czuwają baczne, wykwalifikowane pielęgniarki. Czuwanie w tym wypadku synekurą nie jest: nietylko musi być baczne, ale i ustawiczne i przedewszystkiem inteligentne. Każde z dzieci ma osobny dzienniczek, do którego po skończonym dniu pielęgniarki zapisują swoje uwagi, spostrzeżenia, postępy uczynione, albo też wracanie do złych przyzwyczajeń. W ten sposób dziecko jsst niejako moralnie wciąż fotografowane, co daje możność kontroli niezawodnej. Oprócz tego każde dziecko przy przyjęciu do zakładu poddane jest bardzo szczegółowemu badanin, nie tylko fizycznemu, ale umysłowemu i psychicznemu za pomocą bardzo skombinowanych środków i najnowszych naukowych systemów. Rezultat tych badań tworzy istne akta: ciekawy to z czasem będzie materyał dla badaczy psychologii i patologii tak dziecięcej jak i wogóle ludzkiej.

Ale idziemy dalej. Z nastaniem zmroku dzieci opuszczają ogród, gdzie oprócz zajęć rolno-ogrodniczych mają do dyspozycyi gry ruchowe i sporty różnego rodzaju, tak letnie jak i zimowe—i wracają do domu, do tak zwanej sali zabaw. Tam bawią się swobodnie, gdyż jest to chwila ich rekreacyi, lecz zawsze pod baczną kontrolą i opieką. Każde z nich posiada swój stoliczek z własnemi zabawkami, a czasem jednoczy je wszystkie jakaś gra towarzyska albo śpiewy przy fortepianie. My tymczasem zwiedzamy zakład we wszystkich jego ubikacyach.

Przez werendę, oplecioną dzikiem winem, co charakter wiejskiego dworu akcentuje, wchodzimy do staroświeckiego, lecz do wszelkich wymagań nowoczesnego komfortu przystosowanego domu. Więc oświetlenie elektryczne, więc hydroterapyczne urządzenia, specyalna sala gimnastyczna z odpowiednimi przyrządami, wspomniana już sala do zabaw, infirmerya, i t. p. W sypialniach jasno i aż lśni od czystości, łóżeczka białe jednakie, opatrzone siatką, przy każdem łóżku biała również szafa na rzeczy, biała oddzielna umywalnia, w blizkiem sąsiedztwie łazienka.

Wygoda przeto i ten dziś nieodzowny od kultury pewien komfort zapewniony. Za sypialnymi pokojami znajduje się pokój do nauki, zaopatrzony w ławki, pulpity, tablice; nie trzeba zapominać, że to nietylko leczniczy ale i wychowawczy zakład. Nauk (poza elementarnym zakresem) udzielają nauczyciele z miasta wedle potrzeb indywidualnych dzieci i życzenia ich rodziców, tak, że w razie potrzeby, dziecko przejść może cały kurs nauk, nie opuszczając zakładu. Uwzględniono też szeroko tak wielkie dziś w pedagogii mającą zastosowanie naukę slöjdu, wyroby z pastelin, rysunki to jest to wszystko, co uzdolnieniach i upodobaniach dziecka daje pojęci i przyzwyczaja do zajęć celowych.

Tyle co do nauki i zabaw. Zwiedzamy jeszcze wzorową czystością odznaczającą się kuchnię i pralnię, salę jadalną, gdzie nas informują, że szczególniej uwzględniane są pokarmy roślinne i mleczne—i gabinet lekarski w którym oglądamy bardzo różnorodne, czasem oryginalnie pomyślane i skonstruowane, przedmioty i przyrządy, za pomocą których bada się stopień rozwoju, inteligencyi, wrażliwości dziecka. Dodać należy, że próby te odbywają się nie odrazu, ale po oswojeniu dziecka i pozyskaniu jego zaufania. Znalezienie klucza do każdej indywidualnej, często spaczonej psychiki dziecięcej jest tu naogół metodą kierowniczą. Zakład prowadzony jest przez stałego lekarza zakładowego d-ra Józefa Jasieńskiego, asystenta kliniki neurologicznej, dawniej lekarza zakładowego w zamkniętem obecnie sanatoryum zimowem na Lido. Opieka bezpośrednia nad dziećmi należy do kierowniczki zakładu oraz do pielęgniarek wykwalifikowanych w szkole pani Weryho-Radziwiłłowiczowej.

Tak wygląda pierwszy w kraju zakład dla nerwowych dzieci. Zapełnia lukę dotkliwą, daje pełną rękojmię pomyślnego rozwoju i sądzę, że nikt z pośród rodziców rozumnie kochających swe dzieci, nie zawaha się, gdy zajdzie tego potrzeba, wychowywać je i leczyć jednocześnie w krakowskim zakładzie.

Zakład jest tymczasem obliczony i urządzony na 15-ro dzieci. Wiek przyjęcia od lat 6 do 14. Wszelkich informacyi szczegółowych udziela zarząd, ul. Kopernika № 23.

M. Domańska.

□□□□□□□□□□

Moja odpowiedź na ankietę „Steru".

Przez parę lat zajmowałam się dużo położeniem „panny na wydaniu"; przejęta żywo uczuciem współczucia dla jej upośledzonej roli w społeczeństwie pisałam artykuły, wygłaj szałam odczyty, redagowałam odezwy wzywające do zjazdu dziewcząt w tej sprawie.

W rezultacie narobiłam koło polskiej dziewczyny na wydaniu sporo hałasu; czy ją przebudziłam i do wniknięcia w swoje położenie skłoniłam, nie śmiem tego twierdzić — przypuszczam jednakże tak było, bo moje wystąpienie z kwestyą „panien na wydaniu", jaskrawe w formie brutalnie szczere, wywołało sporo polemicznych artykułów z obozu umiarkowanego, a wprost gromy ostatecznego potępienia z obozu reakcyjnego.

Do szerszej akcyi ze strony samych zainteresowanych, do ich wystąpienia nazewnątrz nie przyszło jednak. Mnie samą fala życia uniosła w inną stronę, na szersze pola zagadnień społecznych i politycznych wprowadzając.

I oto po latach paru, wpada mi w rękę Nr. „Steru" dedykowany „pannom na wydaniu", wzywający je do wypowiedzenia się w całym szeregu spraw mogących je obchodzić.

Numer czytałam uważnie, biorąc go do ręki przypuszczałam, że poruszy on we mnie i w całej potędze wskrzesi dawne zainteresowanie dla „doli panien na wydaniu".

Tymczasem — nie!

Nic z tego! Ani śladu dawnego przejęcia się tą sprawą.

A raczej chłodne skonstantowanie, że tak zwana kwestya „panien na wydaniu", to jest— kwestya urojona.

Niema jej faktycznie w życiu współczesnem. Tak, bo niema takich czynników przymusu, któreby młodej dziewczynie skutecznie nakazać mogły stałe występowanie w roli materyału na wzorową żonę, — jeśli ona naprawdę mocno, tego sama nie będzie chciała.

Istnienie lub zanik typu archaicznego „panny na wydaniu", jest więc w całej pełni zależne, od naszej kobiecej młodej woli.

Jeśli się wychowamy na ludzi, jak do ludzi odnosić się będzie do nas całe otoczenie, co więcej, całe społeczeństwo. Jeśli złożymy dowody realne, że dla tego społeczeństwa nie ciężarem, nie ozdobą jeno, lecz i jednym z czynników pożytecznych jesteśmy, sam przez się w pył się rozwieje przesąd, o naszej bezmyślności, niskiej, tak moralnej, jak ideowej wartości.

A więc wy, które sromem przejmuje nazwa „panny na wydaniu" zawierzcie słowom „ex-panny na wydaniu"; nie zaprzątajcie sobie

tym zagadnieniem głowy, bo to doprawdy strata czasu, a zwróćcie się całem swem jestestwem ku polskiemu życiu; stańcie mężnie w jego nurcie, a rozejrzawszy się po naszym zachwaszczonym polskim łanie, za pługi się bierzcie.

Pracy ogrom, młodych sił brak wszędzie, te, co pracują, odrabiają robotę ponad siły i wyczerpania już bliskie — przyjdźcie im z pomocą.

Przy pracy takiej napotkacie wiele istotnych kwestyi dla których przemienienia warto poświęcić w ofierze młodość.

Żal wam Miłości, osobistego szczęścia — może?

Nie myślcie o tem. Miłość i Szczęście jeśli mają być Waszym udziałem, znajdą Was wszędzie, a więc i przy pracy dla „Tej, która będzie". *St. Poraj.*

Polityka daleka i blizka.

Rzeczpospolita Chińska stała się faktem dokonanym.

Przed kilku dniami cesarzowa ogłosiła edykt, zawiadamiający o dobrowolnem ustąpieniu dynastyi mandżurskiej, dla uniknięcia walk i rozłamów wojny domowej.

Dziwny doprawdy kraj niespodzianek!

Mówi się zawsze — chińszczyzna, chińskie ceremonie! Co oznaczać ma szczyt zacofania—tymczasem ten zacofany lud zaprowadza sobie bez wielkiego krwi rozlewu republikę, a przedwieczna, skamieniała w dostojności dynastya, sama usuwa się z tronu — wobec woli ludu, dla jego dobra!

Prezydentem tej nowej rzeczypospolitej został Iuanszikaj — twórca bowiem rewolucyi, dr. Sunjatsen oznajmił, że zrzeknie się swych pretensyi do władzy jeśli istotnie republika będzie ogłoszona, niemożna jednak dziś przewidzieć, jak ostatecznie się ułożą stosunki istotne tych dwóch ciekawych ludzi. Rzeczpospolita zostanie zapewne bez żadnych przeszkód uznana przez państwa europejskie, Japonię i Amerykę.

W Europie nastrój ostatniego tygodnia był niezmiernie pokojowy. Komentowano ostateczne zbliżenie Rosyi z Austryą, w parlamencie angielskim, mówiono długo i szeroko o bytności lorda Haldane w Berlinie. Mr. Asquith oznajmił, że w Anglii wiedziano iż wizyta ministra w Berlinie nie będzie niepożądaną, a lord Creve zaznaczył iż Anglia nie wątpiła, że bytność lorda Haldana nie będzie rządowi niemieckiemu nieprzyjemną — po polsku nazywa się to popularnie: wkoło Wojtek na niebiesko!

Sens moralny taki, że obydwa wielkie i potężne narody niechcą gwałtem wojny i tylko ten pierwszy krok owego niechcenia ze strony właśnie Anglii jest trochę dziwny.

N. J.

MĄCZKA MLECZNA „BÉBÉ". PRZYGOTOWANA Z CZYSTEGO MLEKA ALPEJSKIEGO, JEST WYBORNYM, NIEDAJĄCYM SIĘ ZASTĄPIĆ POKARMEM DLA SSAWCÓW I DZIECI.

Dostać można w Aptekach i Składach materjałów aptecznych.

SKŁAD GŁÓWNY
Tow. Akc. „Fr. Karpiński w Warszawie"
Elektoralna 35. Telef. 600.

Paryżanka.

(Sylwetka).

Piękność imperatywna, epiczna, piękność spokojna, i niewzruszona, medalu Syrakuzy!

Przywołuje dłuto i nęci marmur. To Hermiona, to Fedra ze złotym kołem na czole, to Aryana, stworzona do noszenia *peplum*, puharu i sztyletu. Natura wysiliła się, by połączyć w jej pięknem ciele o dumnych liniach wszystkie przepychy formy i konturów.

Głowę ma bladą, enigmatyczną i zadumaną, czoło jasne, włosy ciemne, czarne, bez refleksu; lata wyryją jej twarz i wyrzeźbią zmarszczki, lecz nie zniszczą nigdy szlachetnych linii; wiecznie piękna i smukła, pod fatalnemi szramami nieubłaganego czasu idzie lekka, jak nimfa i nic nie zmąci jej marmurowej linii plastycznej piękności.

To Paryżanka.

To Paryżanka, o której świat marzy i do stóp jej piedestału biegnie, by jej w hołdzie złożyć bukiet z białych kamelii.

Antygona się zbliża, blada, czarnooka; nie idzie, lecz płynie harmonijnie, rzucając ukosem spojrzenia, na tych, co stają po bokach, by przejść mogła.

Antygona ma lożę za tron, a wachlarz za berło; samotność jej cięży, chce uciec przed smutkiem.

Co wieczór głodna wrażeń sceny idzie do teatru i w półciemnej loży bulwarowej świątyni, siada, jak motyl na miękkim fotelu, jakgdyby pozowała dla dłuta i pendzla.

Kochając artyzm, wszystko, co jest sztuką, kocha artystyczną hialetę i układa naokoło siebie, jak do długiej podróży, kryształowe zwierciadło kąpiącej się Afrodyty, rzeźbiony kubek z łakociami, jabłuszko o słoniowo-białej zarumienionej płci, karminową pomadkę na wargi, drobniutki grzebyk szyldkretowy; chce mieć pod ręką lilię swej cery, różę swych ust i perfumy swojego oddechu.

Milcząca, poważna i spokojna, prawie marząca, porusza się pomału, mnąc tylko od czasu do czasu czarny wachlarz, a oczy jej idą od sceny do foteli, a od foteli do zwierciadła. Zna sztukę widzenia, nie patrząc, a jej szybki rzut oka umie odkryć w głębi loży na przeciwko oczy satelity, kochającego jej gwiazdę.

To oprawia białość swej cery w czarne fałdy mantylli — jak Andaluzka. To znowu, jak córki Bordighiery zakrywa się w białe fałdy swego *mezzaro*. Jej wielkie, zdumione oczy, szczęśliwe współzawodnictwo sztuki z naturą, lśnią w tej symfonii uroczej białości. Uśmiecha się smutnie, nie pokazując emalii zębów.

Antygona nie przypomina mi lilii, jest to raczej *scabiosa*, kwiat wdów. Zgrabna, elegancka i smutna mimo sztucznego rozweselenia; niema w niej nic epicznego; dla przechodnia jest winetą Vidala, miłą Ofelią bez stylu, możnaby się wyrazić, że jest autoportretem, a widać malarza zdolnego, posługującego się farbami dobrej marki.

Słucha roztargniona, bo nie odczuwa Cimarosy ani Mozarta; Beaumarchais ani Regnard dla niej nie istnieją — d'Ennery tylko zdobył jej łaski, jest jej Sofoklesem.

Patrzcie na nią: — powoli podnosi do oczu czarną lornetkę, iskra błyskawiczna lśni na jej palcu, jak oko wilka na ciemnem tle loży.

W tyle za nią, sylwetka jakaś majaczeje, jak na ostatnim planie akwaforty, poruszając czystą wodę z miodem zmieszaną, jak w legendzie.

„*Et manibus puris sumite fontis aquam.*"

. . . . . .

Legenda mówi, że kiedyś pudełko nosiła z kapeluszami dla bogiń, które przed nią w tej samej loży siedziały. Potem poszła wielką drogą, w ślad za księciem krwi królewskiej, siejąc po drodze jaśminy i róże wieńca z głowy swojej.

To Paryżanka. *Zofia Relidzyńska.*

ZNAKOMITA w SMAKU
SMIETANKA STERELIZOWANA
„ANTONIEWO"
ABONENTOM 12½ k. ZA BUT. Z DOSTAWĄ
ZAMAWIAĆ TELEFONICZNIE 18-60
LABOR. PRZETWORÓW MLECZNYCH, Nowy-Świat 32 róg Foksal.

Odznaczenie. Na odbytej przed kilku dniami w Petersburgu ogólnopaństwowej wystawie produkcji nasion, firma krajowa Braci Chomiczów została chlubnie wyróżniona przez udzielenie jej medalu złotego za wyborowe nasiona warzyw i kwiatów oraz racjonalną ich hodowlę.

Treść numeru:

Wystawa pracy kobiet polskich w Pradze.—Hugo Kołłątaj, przez Z. Morawską.—W małych domkach, przez Z. Bielicką — Kraszewski, przez T. Kończyca. — Cień, przez W. Gomulickiego.—Koleżanka Stefa, przez C. Walewską.—Zawrotne drogi, przez T. Konczyńskiego.—Ronda miłosne, przez W. Wolskiego. — Z literatury, przez G. Olechowskiego. — U wrót Sahary, przez C. Trembińską.—Przewodnik po Warszawie, przez Z. Skorobohatą-Stankiewiczównę.—Dla nerwowych dzieci, przez M. Domańską. — Moja odpowiedź na ankietę „Steru", przez S. Poraja. — Polityka daleka i blizka, przez N. J.—Paryżanka, przez Zofię Relidzyńską.

Do niniejszego numeru dołącza się:

1) Tablicę krojów i wzorów do № 7 i 8-ego.

2) Dodatek powieściowy „Rebeka ze słonecznego potoku" ark. 6.

Ogłoszenia.

Sarga **KALODONT**

Niezbędny

Krem i Eliksir do Zębów

Przy użyciu zęby pozostają **czyste, białe i zdrowe.**

K. Zaydler & L. Babińska

ul. Marszałkowska №. 77, tel. №. 123-35

Przyjmuje wyprawy ślubne ze swoich i powierzonych materyałów. Wielki wybór haftów Szwajcarskich i krajowych valenciennes i koronek. Wyprawy dziecinne. Ceny nizkie.

Administracya „Bluszczu“ wysyła za zaliczeniem rysunki na wszelkie hafty po przedstawieniu motywów.

S. Przeździecki 5 Mazowiecka 5.

Poleca w wielkim wyborze ubrania dziecięce i uczniowskie oraz **Nowowprowadzony dział sukienek i kostyumów dla panienek** na każdy wiek.

Robota wykwintna. Ceny umiarkowane.

MAGAZYN I PRACOWNIA GORSETÓW

MARYI Z. WAGNER

poleca Gorsety w Wielkim wyborze. Wykończenie staranne. Ceny bardzo przystępne. Widok № 26 róg Marszałkowskiej.

NAGRODZONA ZŁOTYM MEDALEM

Pracownia haftów artystycznych oraz koronkarstwa i sztuki stosowanej

„POLONIA“

Warszawa, Zielna 24 m. 17. Tel. 236-61.

Wydawnictwa GEBETHNERA i WOLFFA

ŚWIAT ZWIERZĄT

Tom I. Zwierzęta ssące

Wydanie polskie pod redakcyą prof. Jana Sosnowskiego. Barwne opisy życia i obyczajów zwierząt. Obejmuje około **400 stronic tekstu** na pięknym kredowym papierze. Zawiera **550 ilustracyi** w tekście, fotografii zdejmowanych z natury, oraz **13 rycin wielobarwnych** na osobnych tablicach.

Cena za egzemplarz broszurowany **rb. 8.**

„ „ „ w ozdob. oprawie **rb. 10.**

Tom II tejże objętości zawierający.

Ptaki, ryby, płazy, gady, owady

wyjdzie w 12 zeszytach po kop. 60. z przesyłką kop. 70. Zeszyt I ukaże się w początku kwietnia r. b. dalsze — dwa razy na miesiąc.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Maison Moderne

CHMIELNA Nr. 9.

Poleca kapelusze wykwintne, oraz wielki wybór czapek futrzanych. Mufki podług ostatnich modeli. Ceny umiarkowane

---

Preparat „TRAYSER“ przeciw reumatyzmowi i podagrze jest do nabycia we wszystkich Aptekach i Składach Aptecznych. Illustrowana broszura z prawidłowym opisem powyżej wspomnianych chorób wysłana zostajena pierwsze żądanie bezpłatnie. Adresować, M. E. Trayser, № 143. Bangor House, Shoe Lane. London England E. C.

Pracownia Gorsetów

Marja Jadwiga

Warszawa,

ul. Marszałkowska Nr. 62.

Gorsety, fasony najświeższe, pasy, biusthaltery, szeleczki i t. p.

oraz GORSECIKI HYGIENICZNE dła panienek.

Tanie i bardzo dobre pierze czeskie!

5 kilo siwe dobre, d a t e 4 rb. 30 kop. lepszy 5 rb. 10 kop. prima półbiałe 5 rb. 90 kop białe 8 rb. 25 kop białe, puchowe 10 rb. 5 kilo b. cienkie, śnieżno białe d a r t e 12 rb. 50 kop. 15 rb. najcieńsze 17 rb. Cła od pierza nie płaci się. 5 kilo odpowiada 12 funtom rosyjskim. Wysyła się franco za zaliczeniem. Wymiana niedopuszczalna. Za niedokładność pieniądze z powrotem. S. BENISCH w Deschenitzü, 992. **Czechy.** Aüstrja.

NOWOŚĆ!

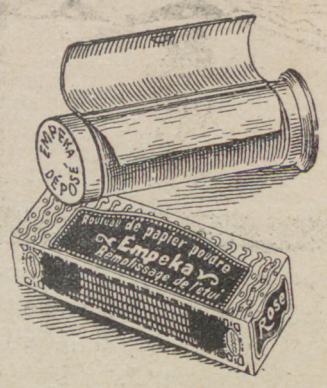

NOWOŚĆ!!!

nadzwyczaj hygieniczny, ekonomiczny i praktyczny w użyciu jest

Papier Poudré

w niklowym aparaciku

„EMPEKA“

Parfumerie De La Follie Paris Londres ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

Jen. Repr. na Królestwo i Rosyę

Jan Sroczyński, Warszawa, Złota 23, telefon 212-80.

WYSTRZEGAĆ SIĘ PODRABIAŃ!

WYSTRZEGAĆ SIĘ PODRABIAŃ!

Osoba wykształcona (wdowa), posiadająca muzykę, śpiew konwersacyę francuską, znająca się na gospodarstwie, poszukuje samodzielnego zarządu domem, matkowania dzieciom, lub starszym panienkom.

Przyjmie również miejsce towarzyszki. Referencye poważne znanych domów w Warszawie.

Oferty „DLA MUZYKALNEJ“ przyjmuje administracya „Bluszczu“.

Zaleca się wodę odżywczą **„JUNO“** Centralnego Laboratorjum Chemicznego Woda ta przywraca siwym włosom ich pierwotny naturalny kolor. Sprzedaż w składach aptecznych.

Ewaryst

Perfumerya i Zakład fryzjerski.

Wysyłka pocztą.

Marszałkowska 114, tel. 30-17.

Ostatnie nowości Perfum, Piękne nesesery do „manicure", Grzebienie i szpilki do włosów szyldkretowe, ozdobne i gładkie Szpilki do kapeluszy. Najnowsze paryskie ozdoby do włosów.

TABLETKI KEFIROWE do wyrobu domowego **KEFIRU** wyrabiane w Aptece i Fabryce Tabletek, **Modlińskiego i Lilpopa** dostać można w Warszawie, w Aptekach i Składach Aptecznych.

Ozofluin,

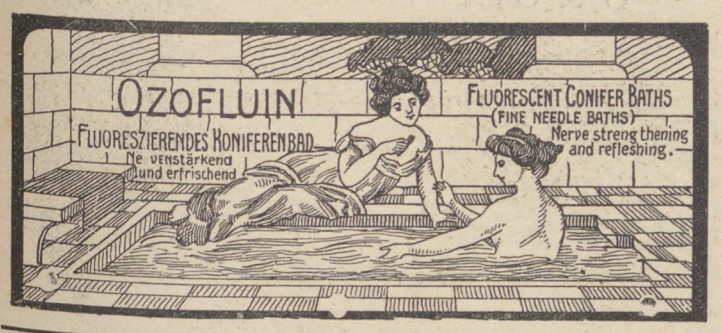

kąpiel wzmacniająca i orzeźwiająca ciało i nerwy, przytem pięknie pachnąca ze śliczną fluorescencyą w formie zarnistej, jest dawno już pożądany wzamian zwykłych kąpieli iglicowych i ogólnie uznany za najlepszy sosnowy preparat, jaki tylko może być zastosowany w praktyce kąpielowej. Ozofluinową kąpiel można także łączyć z innemi kąpielami, jako to: żelazistemi, tlenowemi, kwaso-węglowemi siarkowemi i potęguje ich działanie. Ozofluin odznaczony został najwyższemi nagrodami na Powszechnej Wystawie hygienicznej w Dreźnie 1911 r. i Hygieniczno-Sportowej wystawie w Medyolanie 1911 r. **1 oryginalne pudełko na 10 kąpieli 5 rb, na 5 — 3 rb., próbna kąpiel 80 kop.**

Żądać we wszystkich aptekach i większych składach aptecznych.

OZOFLUIN-CENTRALE, BAZYLEA ST. JOHANNVORSTADT 42.

Główny przedstawiciel na Król. Pol. i Litwę:
JAN SROCZYŃSKI, Warszawa, Złota 23, telefon 212-80.

DENTYSTA
Zofja Gutzman
Korony złote, plomby porcelanowe, zęby bez podniebienia. **Szpitalna 3.**

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielsk.
KARPIŃSKIEJ
POLECA: nauczycieli, nauczycielki, bony, francuzki, niemki, angielki.
Warszawa, Moniuszki 7. 365

Sprzedaż w perfumer. skład. apteczn. i u fryzyerów.

MAGAZYN FINLANDZKI
SENATORSKA 32
WARSZAWA
J. Biernat

PŁÓTNO—STOŁOWIZNA
oraz wszelkie wyroby lniane.

Wytworne Damy,

Marka zatwierdzona.

jak też i słynne z piękności artystki, zaprzestały używać **Gold Cream** (gold crème), który staje się gorzkim i nadaje twarzy zbytni połysk. Natomiast używają.

Crème Simon,

produkt o pięknym zapachu, nigdy się nie psujący; łączy w sobie własności toniczne i udelikatniające, posiada przytem własność nieporównaną konserwowania cery i zachowania jaknajdłużej świeżego młodzieńczego wyglądu.—**Puder Simon** (La Poudre Simon) i **Mydło Crème Simon** (Le Savon à la Crème Simon), o tymże zapachu co i Crème Simon, uzupełniają znakomite działanie tegoż.

J. SIMON, 59, Faub. St.-Martin, Paris.
Wsprzedaży detalicznej u fryzyerów w perfumeryach i aptekach.

„Sidonie" Właścicielka wytwornego Magazynu Mód powróciła z Paryża zaopatrzona w najwspanialsze Modele sezonowe. Warszawa, ulica Czysta № 2. Telefon 70-82.

Ważne dla Pań zapamiętać adres

FABRYKA i MAGAZYN GORSETÓW

Władysławy Średnickiej

Zgoda Nr. 7 (rog Złotej)
w Gmachu Kasy Przem. Warsz.
TELEFON 166-41.
w Warszawie Marszałkowska 47
między Placem a Koszykową.
Posiadam na składzie 2500 gotowych gorsetów, a 225 fasonów najnowszych i najwygodniejszych.
UWAGA! Nowe fasony co miesiąc sprowadzam z Paryża.

Cennik gorsetów, na sztuki, miara całości gorsetu w talii.

Wszystkie fasony Najnowsze

Z materyałów Francuskich jedwabnych prima.	A.	do 50 cm. R. k. 10.50	50—60 cm. R. k. 14.50	60—70 cm. R. k. 17.50	70—80 cm. R. k. 20.50	80—90 cm. R. k. 24.50	90-100 cm. R. k. 30.—	od 100 cm. R. k. 36.—
Z materyału Franc., batystu jedwabn. we wszystk. kol. i desen.	№ 1	7.75	9.75	11.75	14.75	18.75	22.75	26.—
Materyał. Franc., w deseń i batys w paski.	№ 2	6.50	8.50	10.50	12.50	14.50	17.50	20.—
Gładkie Franc. i batysty	№ 3	5.75	6.75	8.—	9.75	11.—	12 75	14.75
Krajowe materyały wszystkie kolory w kilkunastu deseń.	№ 1 № 2 № 3	5.50 4.75 3.75	6.50 5.75 4.55	7.75 6.75 5.50	8.75 7.75 5.75	10.— 8.75 6.75	11.75 10.— 8.—	14.— 11.75 10.—
Krajowe i Finlandzk. gładkie drylichy we wszystkich kolorach	№ 1 № 2 № 3	3.50 2.50 1.50	4.25 3.— 1.75	4.75 3.50 2.25	5.25 4.— 3.—	5.75 4.50 3.75	6.25 5.— 4.50	8.— 6.25 5.75

Gorsety przyjmuje do przeróbki reperacyi i prania. Ceny niskie.

Podwiązki 2 pary gum. jedwab. z kokardami № 1, 3 rb., № 2; 2.50 k.; № 3; 2.15 k.
„ 2 pary gum. pół-jedw. z kokard. № 1; 1.75 k., № 2; 1.50 k., № 3; 1.25 k.
„ 1 para guma zwyczajna № 1; 60 k., № 2; 45 k., № 3; 25 k.
Biusthaltery od 2 rb. — Pasy, najnowsze fasony od 1.75 k.
Firma solidna **Chrześcijańska**. - Egzystuje od 1899 roku.
Wysyłam na prowincyę detalicznie i hurtownie za zaliczeniem pocztowem.
Gorsety na obstalunek o 20% drożej od cen powyższych.

328
Biuro nauczycielskie
„Załęski"
Warszawa, **Widok 5.**
Poleca nauczycieli, nauczycielki, bony. — Francuzki, Angielki **sprowadza z własnych biur zagranicznych.**

Dr. Władysław Ostaszewski
Choroby zębów, szczęk, i jamy ustnej. **Żórawia 18,** tel. 155-88.

D-r. Bogusławski
przyjmuje wyłącznie **z chorobami kobiecemi** od 4 do 6 popoł **Żórawia 33,** tel. 243-56.

Pierwszorzędne biuro nauczycielskie
Maryi Balińskiej
poleca nauczycielki nauczycieli bony różnych narodowości freblanki z szyciem. Warszawa, Widok 13 telefon 77-34.

Biuro Nauczycielskie
Maryi Noworyto
b. nauczycielki
poleca: nauczycielki, nauczycieli, bony, freblanki, cudzoziemki. — Sprowadza angielki, francuzki, niemki. **Warszawa, Chmielna Nr. 30.**

Najlepsze mydła udelikatniające skórę są
Mydła hyg. przetłuszczone
wyrobu Apteki **M. MALINOWSKIEGO**
Nowy-Swiat 35, w Warszawie.

---

40 dni Bezpłatnie.

Jeżeli Pani w przeciągu 40 dni nie nauczy się swobodnie pisać, czytać po niemiecku, francusku, angielsku i łacinie podług naszych samouczków wydanych najnowszym systemem (wszystkie inne — reklamy) ZWRACAMY PIENIĄDZE. Cena samouczka jednego języka z przesyłką za zaliczeniem 1 rb. 10 kop. 2-ch 1 rb. 90 kop. 3-ch 2 rb. 80 kop. 4-ch 3 rb. 65 kop. Obstalunki wypełnia jedyny na Rossję skład Petersburg. Petersb. strona Bolszoj prosp. 56-33. J. K. Peters.

„OD STÓP DO GŁÓW",
OGLĄDA SIĘ CZŁOWIEKA
Używajcie przeto znakomitej pasty
ONLY
A WTEDY STOPY WASZE ZAWSZE BĘDĄ ELEGANCKIE
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE!

Magazyn Konfekcyi Damskiej i Dziecinnej

Edwarda Szyszko Marszałkowska № 99. Telefon 184-95.

Poleca na Sezony jesienny i zimowy w wielkim wyborze po cenach bardzo przystępnych, kostjumy od 16 rb. suknie od 12 rb. Suknie Reformowane od 9 rb. Bluzki jedwabne od 3 rb. wełniane, aksamitne, sukienne i flanelowe od rb. 1.50. Peniury, Matinki, Halki jedwabne od rb. 4.75. Wełniane od rb. 2. Mundurki Pensyonarskie, ubranka dla chłopców, Palta, Szubki, Bielizna damska i dziecinna oraz wszelka galanterya. DEWIZĄ FIRMY Punktualność i staranna robota. Zamówienia z prowincyi uskutecznia natychmiastowo Na składzie duży wybór, towar krajowy i zagraniczny.

PIERWSZA CECHOWA **SZKOŁA KROJU**

M-me MERCÈRE Nagrodzona złotemi medalami

na wystawie „Pracy Kobiet" „włóknisto-konfekcyjnej" za krój i postęp uczennic. Kursy krawiectwa i bielizny. Gruntowna nauka pasowania oraz modelowania. Przy szkole pracownia. Pensyonat.

Telefon № 87-48. Warszawa, Nowy-Świat № 42,

„Helena-Walerja" Marszałkowska 38 piętro, tel. 81-41

Pracownia **Sukien, Kostjumów i Kapeluszy**

poleca gustowne i pierwszorzędne wykonanie.

Każdy z łatwością odświeży **Meble** i wszelkie wyroby skórzane **Meblinem.** —

Składy Apteczne

Skład główny RÓŻYCKI Marszałkowska Nr. 82.

Pudełko 45 kop.

Bracia CHOMICZ WARSZAWA ul. Zgoda 8.

polecają świeże pierwszej jakości

NASIONA warzywne, kwiatowe pastewne

Firma otrzymała (III rok istnienia) dwie nagrody **najwyższe:** MED. ZŁOTY Centr. Tow. Rolniczego oraz DYPLOM UZNANIA Lub. Tow. Rolniczego.

Cenniki gratis

Kierownicy firmy: Jan Chomicz, agronom z Puław
Józef Chomicz—pomolog kandydat nauk przyrodniczych.

Precz z froterką! Polecany do podłóg, posadzek jak również **do odświeżania mebli** - specyalny lakier Ameryk. **LACQUERET** (bakieret) największ. w świecie fabr. „Standard" w Nev. Jorku.

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

Hurt. sprzed. M. i J. Herszfinkiel, Warszawa Żelazna Brama № 6, tel. 94-83. Na prowincyi i w Cesarstwie poszukiwani są hurtowi odbiorcy.

„Hygiena Twarzy i Rąk"

wszechświatowej sławy **„Simi"** (PŁYN)

Udelikatnia skórę, leczy radykalnie i usuwa piegi, wągry, liszaje, krosty, oraz połysk twarzy. **Cena flakonu Rb. 1.70.**

Dostać można w większych składach aptecznych i perfumerjach.

Przedstawiciel **JÓZEF GROSMAN,**

Warszawa, Złota 16, telefon 184-44.

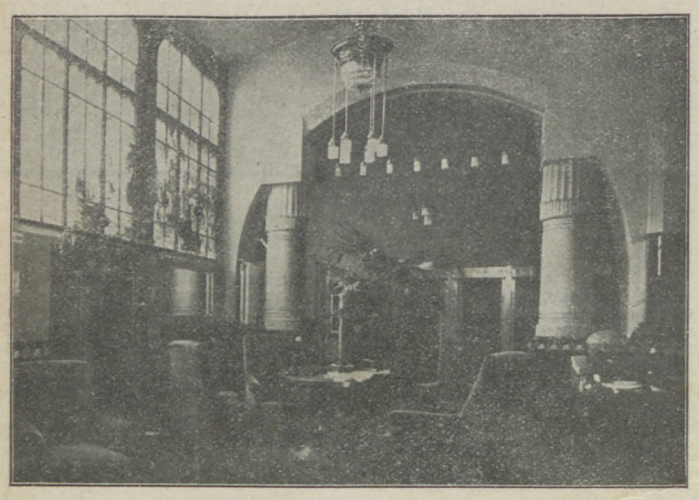

„Łaźnia Centralna" Krak. Przedm. 16/18

Rzymska i Parowa Łaźnia z basenem. Kąpiele Elektryczno-Świetlne i Kwaso-Węglane. Wanny z wyczajne. Masaż. Salon Fryzyerski. Mani i Pedicure,

w **Środy Łaźnie** cały dzień **Dla Pań**

!!! NAJWYŻSZY KOMFORT !!!

Wyprawy od Rb. **100** do **5000.**

FABRYKA SKŁAD KAFLI I PIECÓW GŁADKICH I MAJOLIKOWYCH

S. HALIS

Warecka Nr. 14, telefon 46-62.

Dostawa i budowa wszelkich pieców i kuchen.

PANTOFELKI BALOWE w różnych kolorach, oraz **KAUKAZKIE HAFTOWANE** wyrób własny ceny fabryczne

MOULIN

Nowy-Swiat 64/9.

PRACOWNIA HAFTÓW

H. Semkowskiej

Egzystująca od r. 1878

przy ul. Ś-to Krzyskiej 35

Przeniesioną została na ul. Sienną Nr. 26—1.

Fabryka i Magazyn Wyrobów Jubilerskich

D. EPSTEINA

Warszawa, Marszałkowska 98. Tel. 167-66

Piękna biżuterja — pierwszorzędne zegarki szwajcarskie. Obstalunki reperacje, złocenie, srebrzenie. Kupno złota, srebra i drogich kamieni.

F. Trojanowski

FRYZJER Bielańska № 8

wejście od Daniłowiczowskiej.

Salony dla Pań i Panów. Wyroby z włosów. Dewizą firmy punktualność i akuratność w wykończeniu perfumerja krajowa i zagraniczna.

Z czystej świeżej serki Rozentowo gotowanej śmietanki są najzdrowsze

Lekarze zalecają. Żądać wszędzie

Wystrzegać się podrabiań.

Główny skład A. SZMOLKE Warszawa Marszałkowska 149, telefon 42-71.

Niema Siwych Włosów

kto używa **Teinture Vegetal**

D-ra chemji I. Tarin w Paryżu. Teinture Vegetal NATYCHMIASTOWO i TRWALE niecdbarwiając przywraca włosom naturalny kolor. BARWI WE WSZYSTKICH NAJSUBTELNIEJSZYCH ODCIENIACH. SPRZEDAŻ DETALICZNA w Zakładzie perfumeryjno fryzjerskim.

M. SŁOMCZEWSKIEGO. Warszawa Al. Jerozolimskie 39, tel. 115-00

Hurtowy skład i wyłączna sprzedaż na Królestwo i Cesarstwo u firmy Z. DOBROWOLSKI WARSZAWA Chmielna 36, telefon 110-73.

Szkoła Artystyczno Rzemieślnicza

Cecylji Gutowskiej

Złota Nr. 4, telefon 129-70.

Koszykarstwo, Introligatorstwo, Wypalanie na drzewie i aksamicie, Metaloplastyka, Haft, wszelkie roboty kobiece. Kurs na nauczycielki robót i slöjdu (patenty). Rok szkolny rozpoczęty.

Wydawnictwa GEBETHNERA i WOLFFA

Szekspir Wiliam: Dzieła w 12-tu tomach

wydanie nowe, z portretem autora oraz kilkudziesięciu drzeworytami tytułowemi.

Życiorys poety i objaśnienia do jego utworów opracował dr. **Roman Dyboski,** prof. lit ang na Uniw. Jagiel. Studjum p. t. „Szekspir w Polsce" napisał **dr. Ludwik Bernacki,** Wyboru przekładów, z dawniejszych pióra *Korzeniowskiego, Koźmiana, Ostrowskiego, Pajgerta, Paszkowskiego. Ulricha,* ze współczesnych zaś *Jana Kasprowicza i Edwarda Porębowicza* dokonał **St. Krzemiński.**

Cena pojedyńczego tomu w prenumeracie na zwykłym papierze **75 kop.,** oprawa dwóch tomów razem **50 kop.,** na lepszym pap. **rb. 1,** opr, tomu **50 kop.**

Cena 12-tu tomów prenumeracie

na zwykłym papierze **9 rb.,** na lepszym pap. **12 rb.**
„ „ w oprawie **12** „ „ „ **18** „

Po wyjściu z druku **cena będzie podwyższona.**

Dotąd wyszły z druku dwa pierwsze tomy i zawierają:

Tom I: Życie, twórczość i sława Szekspira, przez R. Dyboskiego. — Burza, w przekładzie L. Ulricha.—Dwaj Panowie z Werony, w przekładzie St. Koźmiana. - Figle Kobiet w przekładzie L. Ulricha

Tom II: Miarka za miarkę.—Komedja pomyłek. — Wiele hałasu o nic. Wszystkie przekłady Jana Kasprowicza.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Najnowsze Roboty Ręczne

rysowane, zaczęte i gotowe, oraz wszelkie do nich dodatki, Motywy i koronki: Cluny, Filet, Flandre, Irlande i Venise. Story, zazdrostki, kapy, serwety, poduszki, abażury i t. d. ręcznie haftowane — gotowe i na zamówienia.

Pracownia własna

Czysta № 8, telef. № 34-67. **Józef Rozmanit.**

Redaktorka i wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.**

Druk Piotra Laskauera, Warszawa, Nowy-Swiat 41.